

TYGODNIK ILLUSTROWANY



ROKSANA

MARYA WASILKOWSKA

Henryk Sienkiewicz.

Krzyżacy.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

1041



to, wracając z pogoni za Litwą, rozgorzałe i upojone zwycięstwem chorągwie niemieckie uderzyły w bok polskiego skrzydła.

Sądząc, że wszystkie wojska królewskie już rozbite i bitwa stanowczo wygrana, wracały one w wielkich bezładnych gromadach, z krzykiem i śpiewaniem, gdy nagle ujrzały przed sobą srogą rzeź i Polaków już prawie zwycięskich, ogarniających zastępy niemieckie.

Więc Krzyżacy, zniżając głowy, spoglądali ze zdumieniem przez kraty przyłbic na to, co się dzieje, a potem, jak który stał, wbił koniowi ostrogi w boki i puszczał się w zamęt bojowy.

I tak gromada uderzała po gromadzie, aż wkrótce tysiące ich zwały się na znużone walką chorągwie polskie. Krzyknęli Niemcy radośnie, widząc przybywającą pomoc, i z nowym zapalem poczęli bić w Polaków. Okropna bitwa zawrzała na całej linii, ziemia spłynęła potokami krwi, zachmurzyło się niebo i odezwały się glucho grzmoty, jakby sam Bóg chciał mieszać się między walczących.

Lecz zwycięstwo poczęło chylić się ku Niemcom... Już, już wszczynająca się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie poczęły jednym głosem śpiewać pieśń triumfu:

„Christ ist erstanden!...“

A wtem stało się coś jeszcze okropniejszego.

Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic, trzymający wielką, świętą dla wszystkich wojsk chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwały się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew.

W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarną teraz Polaków, że przychodzi czas klęski, mordy i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać.

Ale oto właśnie czekał ich krwawy zawód.

Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą, jak jeden mąż, wojska polskie, na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczce był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armii, i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wi-

rze śmigały ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów, zwały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z głębi piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły jeno oślepiłe z przerażenia konie, bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą dziko grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy, i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął, i rozkwitła wspaniale, jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją okrzykiem triumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło we dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej piersiom trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskani, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i owdzie ozwały się głosy o litość. Tu i owdzie wypadał ze skrętu jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbielełą ze strachu i zdumienia, i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł niemniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżała już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś, patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła, i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wichler porusza ciężką, niosącą klęskę chmurę gradową.

* * *

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkim i baczny na przebieg bitwy Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych ubogich władyków, z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w ro-

hatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na drągach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując, jak błyskawica, wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, pospierali drągi od dził, cepów i kos o ziemię i, przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pacholek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszonym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! ławaj! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro-waś-Ma-ry-ja-Łas-kiś-peł-na-Pan-z-To-ba!!!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pacholkowie miejscy; kmiecie z Małopolski i Wielkopolski, i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazury z pod Elku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozblęskło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy, jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbily się aż ku niebiosom.

* * *

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadował całą bitwą, rozsyłał pacholków i aż ochrypl od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł i sam rwać się do boju.

Nie puszczała go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Żóława chwycił za cugle konia, i choć król uderzył go włócznią po rękę, nie puścił. Inni zastąpili też drogę, prosząc, błagając i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.

A tymczasem największe niebezpieczeństwo zawisło nagle nad królem i nad jego orszakiem.

Oto mistrz, idąc za przykładem tych, którzy wrócili po rozgromie Litwy, i chcąc także zajechać z boku Polakom, zatoczył koło, skutkiem czego jego szesnaście wyborowych chorągwi musiało przechodzić właśnie nieopodal wzgórza, na którym stał Władysław Jagiełło.

Spostrzeżono wraz niebezpieczeństwo, ale nie było czasu cofać. Zwinięto tylko znak królewski, a jednocześnie pisarz królewski, Zbigniew z Oleśnicy, skoczył, co siły w koniu, do najbliższej chorągwi, która gotowała się właśnie na przyjęcie nieprzyjaciela, a której rycerz Mikołaj Kielbasa przywoził.

— Król w obierzy. Na pomoc!—zawołał Zbigniew.

Lecz Kielbasa, straciwszy poprzednio hełm, zerwał całą mokrą od potu i pokrwanioną myckę z głowy i, pokazując ją gońcowi, zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Patrz, jeśli tu próżnujem! Szalony! Zali nie widzisz, że na nas idzie ta chmura, i że właśnie naprowadzilibyśmy ją na króla, zaczem ruszaj precz, bo cię tu mieczem przebodę.

I niepomny z kim mówi, zziąjany, uniesion gniewem, zmierzył się istotnie na gońca, ów zaś, widząc z kim sprawa, a co więk-

sza, że stary wojownik ma słuszość, skoczył napowrót do króla i powtórzył mu, co usłyszał.

Więc straż królewska murem wysunęła się naprzód, aby pana pierściami zasłonić. Tym razem jednak król nie dał się powstrzymać i stanął w pierwszym szeregu. Lecz ledwie się ustawili, chorągwie niemieckie były już tak blisko, że herby na tarczach można było doskonale odróżnić. Widok ich dreszczem mógł przejąć najodważniejsze serca, był to bowiem sam kwiat i wybór rycerstwa. Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych, jak tury, koniach, nie uznojeni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypocęci, szli jak huragan z tętentem, z hukiem, z szumem chorągwi i chorągiewek, a sam wielki mistrz leciał przed nimi w białym, szerokim płaszczu, który rozpuszczony na wiatr, wyglądał jak olbrzymie skrzydła orła.

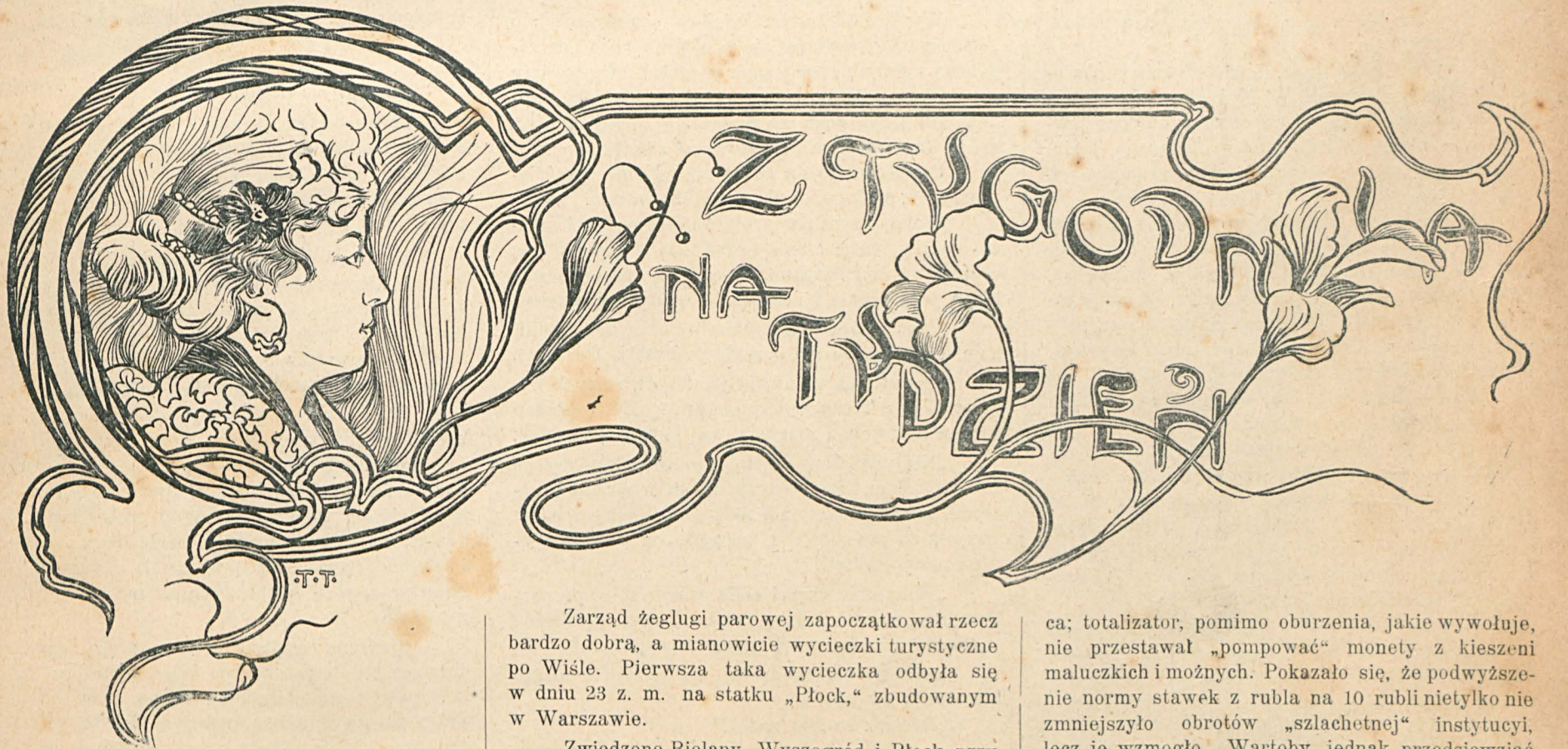
Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstka rycerzy stojących na uboczu, między którą nie domyślał się i nie rozpoznał króla! Ale z pod jednej chorągwi odezwał się olbrzymi Niemiec, i czy to poznawszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcąc popisać się

odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopię i skoczył wprost na króla.

Król zaś spał ostrogami konia, i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byłiby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie ten sam Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, zarówno biegły w łacinie, jak i w rycerskim rzemiośle. Ten mając złomek kopii w ręku, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb, skrzyżował mu hełm i zwałił na ziemię. „W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabić go raczył.“

Tak zginął sławny rycerz niemiecki, Dypold Kikieritz von Dieber. Konia jego pochwycił książę Jamont, a on sam leżał śmiertelnie porażony w swej białej jace na stalowej zbroi i w połocistym pasie. Oczy zaszyły mu bielmem, lecz nogi kopaly jeszcze czas jakiś ziemię, póki największa ludzka uspokoielka, śmierć, nie pokryła mu nocą głowy i nie uspokoiła go na zawsze.

Skoczyli rycerze z pod chełmińskiej chorągwi, chcąc pomścić śmierć towarzysza, lecz sam mistrz zabiegł im drogę i krzyżując: „Herum! herum!“—zaganiał ich tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy tego krwawego dnia, to jest do głównej bitwy. DN



Koniec sezonu.

Sezon ogórkowy się zbliża, ale bynajmniej nie zapowiada się „ogórkowo.“ Horyzont polityczny przedstawia się barwnie, zbyt barwnie nawet... Dawno już nie lało się tyle krwi, dawno już nie spoglądano z takim niepokojem w przyszłość.

Jak się skończy wojna Afrykańska? Co wyniknie z zawikłań w Chinach? Oto kwestye, nad którymi będą się mogli zastanawiać dziennikarze przez całe lato, zostawiwszy w spokoju węźa morskiego i inne klasyczne tematy „sezonu ogórkowego.“

I u nas, na miejscu, nie brak kwestyi, mniej szerokich i barwnych, co prawda, ale za to obchodzących nas bliżej.

Rozpoczęto roboty około budowy drogi Kaliskiej, która za dwa lata zapewne będzie oddana do użytku publicznego.

Zarząd żeglugi parowej zapoczątkował rzecz bardzo dobrą, a mianowicie wycieczki turystyczne po Wiśle. Pierwsza taka wycieczka odbyła się w dniu 23 z. m. na statku „Płock,“ zbudowanym w Warszawie.

Zwiedzono Bielany, Wyszogród i Płock, przy bardzo nielicznym udziale publiczności, która powinna zainteresować się tą pożyteczną nowością. Przecież wycieczki wodą są o wiele przyjemniejsze od jazdy w dusznych i przepelnionych po brzegi wagonach dróg żelaznych.

A może ożywienie ruchu pasażerskiego na Wiśle zachęci przedsiębiorców żeglugi do reform i ulepszeń, o które napróżno dopominamy się od lat tyłu?

Ważną i zasługującą na omówienie kwestyą jest ogłoszona świeżo w Zbiorze Praw uchwała rady państwa, rozszerzająca działalność Towarzystw kredytowych miejskich gubernialnych na miasta prowincjonalne. Wobec przesilenia pieniężnego, które trwa ciągle, podobne ułatwienie kredytu publicznego może wyrzec dobroczynne skutki.

W Warszawie karnawał letni dobiega do koń-

ca; totalizator, pomimo oburzenia, jakie wywołuje, nie przestawał „pompować“ monety z kieszeni maluczkich i możnych. Pokazało się, że podwyższenie normy stawek z rubla na 10 rubli nie tylko nie zmniejszyło obrotów „szlachetnej“ instytucyi, lecz je wzmogło. Wartoby jednak przedsięwziąć coś na seryo przeciwko tej niebezpiecznej i niemoralnej zabawie!

Na szczęście, obok wyścigowego „Monte Carlo“ posiadamy w Warszawie instytucye poważniejsze, które nie przestają pracować dla dobra ogółu.

Delegacya pracy kobiet, funkcjonująca przy Muzeum Pop. Przem., poruszyła kilka poważnych kwestyi.

Szkoła Techniczna Wawelberga urządziła interesującą wystawę robót swoich uczniów; klasa dramatyczna, istniejąca przy Towarzystwie muzycznym wystąpiła z dorocznym popisem, na którym krytycy odnaleźli kilka obiecujących talentów.

Słowem, bilans społeczny sezonu letniego obok pasywów posiada i niewątpliwie aktywa. Jak jednak wypadnie ostateczne „saldo“ bilansu, to dopiero przyszłość pokaże.

Przyszłe urodzaje.

Jakkolwiek długo panująca susza znaczne poczyniła szkody, obecne deszcze poprawiły posiewy jarzynne i okopowiny. Zaznaczyć trzeba, że owsy i jęczmiona mało wyrosły, a już poczynają się kłosić; na lżejszych gruntach już są wykłoszone. Żyta w kulturze wyglądają dobrze i okwitły w czasie pogodnym, więc powinny być podsypne. Pszenice również niezgorsze na gruntach ściślejszych.

Buraki i kartofle zaledwie się z ziemi wydobyły; po deszczach powinny się poprawić. Pomimo przymrozków i suszy, sady owocowe nie ucierpiały zbyt. Mało będzie czereśni i wiśni, ale dosyć jabłek, śliwek i gruszek.

Pokos konieczyny nieobfity, siano zebrano pogodnie—choć w mniejszej niż zwykle ilości. W niektórych majątkach krowy wzięto na oborę, bo pastwiska z powodu suszy były na wiosnę liche. O rezultacie trulów rolnych zadecyduje miesiąc bieżący i pomyślnie żniwo, od którego dobroć ziarna zawisła. *d.*

✳

Czy wolno nam flirtować bezkarnie? (Zdanie pewnej autorki z powodu referatu doktorowej Męczkowskiej, odczytanego na posiedzeniu delegacji pracy kobiet w Muzeum popierania przemysłu i handlu).

Upalny dzień letni chylił się ku końcowi. Z zacisznego ogródka, na który wychodzą drzwi mieszkania jednej ze znanych i utalentowanych powieściopisarek naszych, dolatywał chłód wieczorny.

Kapałam się w nim, czerpiąc pełną piersią ożywcze tchnienie.

Byłyśmy tylko dwie. Rozmawiałyśmy o świeżo odbytem posiedzeniu w Muzeum, gdzie pani Męczkowska zdobyła się na cywilną odwagę jawnego odsłonięcia takiego wrzodu bolącego, jakim jest dla wszystkich społeczeństw sprawa upadłych kobiet.

W doskonale napisanym referacie autorka twierdzi, że nie tyle wrodzone skłonności prowadzą większość dziewcząt do zguby, ile nędza, ciemnota i uwodzielecstwo, że zatem, chcąc je ratować, należy dążyć do poprawienia ich bytu, podniesienia płacy zarobkowej, oświecenia umysłów, a przede wszystkim—do karcenia uwodzieleli.

Dziś—cieszą się oni ogólnym szacunkiem i bywają przyjmowani wszędzie.

Zmienmy opinię w tym kierunku; smagajmy chłostą pogardy nędznych, czy też tylko lekko-myślnych Don-Żuanów; uczmy synów naszych, że jak kradzieży i morderstwa, należy unikać ryzykownej gry na sercach niedoświadczonych istot, a wówczas uchronimy niejedno dziewczę od czyhających na nie szponów zguby.

— Wie pani jednak, kogo postawiłabym pod pręgierzem najczęściej i najbardziej karygodnej odpowiedzialności? — zagadnęła nagle gospodyni domu, której oczy roziskrzyły się płomieniami gniewu i oburzenia.

Spojrzałam na nią pytając.

— „Nasze flirtujące damy salonowe! — zawołała z uniesieniem.

„Tak, każda z nich uważa sobie za szczyt ambicji wywoływanie w mężczyźnie szalu miłostnego, którym zdaje się ujarzmić go sobie. Ujarzmienie to krótkie, mija, ale demoralizacja pozostaje. A ofiarą tej demoralizacji stają się biedne dziewczyny z poddasza...

„Zacznijmy reformę od siebie samych; przestańmy polować na holdy naszych salonowych rycerzy; przestańmy liczyć na palcach trofea pożądliwych spojrzeń i znaczących uścisków; rozmawiajmy z mężczyzną jak same z sobą, prosto, szczerze, serdecznie, bez obmyślanych z góry efektów: salon nie stanie się wówczas dla niego źródłem podniety, a t. zw. „uczciwa“ kobieta nie będzie go pchała w objęcia dziewcząt z poddasza, które pierwszy upadek prowadzi na drogę płatnej rozpusty.

„Czy nie mam słuszności?“

Skinęłam głową na znak przyświadczenia i myślą przebiegłam galerię tych salonowych grzesznic, którym świat nadaje miano „zacnych żon i matek,“ ponieważ grzeszą one tylko myślą i słowem, nie czynami. *ew*

✳

Dalej jazda—byle z gniazda!

Na wystawę do Paryża jedzie tak liczny zastęp mieszkańców Warszawy, iż kasom zbraknie biletów kolejowych do komunikacji bezpośredniej. Już się to raz nawet wydarzyło. Okazuje się, że mamy dosyć pieniędzy na kosztowne wycieczki. Nie wpływają na to niskie ceny zboża i wełny, ani bankructwa wielkich firm przemysłowych, ani ogólne narzekania na biedę, przesilenie pieniężne i t. p. rzeczy.

Słyszymy za to opowiadania: Sprzedał dom ze stratą, wziął część pieniędzy i wyjechał za granicę. Odstąpił sumę, umieszczoną na hypotece, za lichy grosz i poleciał na wystawę. Wyrwał skąd mógł trochę grosza i machnął, żeby się zerwać w Paryżu...

Co potem będą wystawiali ci jegomości—i jak ich będą rozrywali—zobaczymy z powrotem... A biletów w kasach kolejowych brakuje! *g.*

✳

Echa z wyborów.

Wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego, interesując żywo ziemian w różnych stronach kraju, dostarczają także materiału sprawozdawcom pism codziennych.

Wysłani *ad hoc* na miejsce przedstawiciele „drukowanego papieru“ nie żałują miejsca na szczegółowe relacje, choć papier podrożał. Czytaliśmy poprzednio rady i wskazówki dla wyborców, wykazujące jasno dostojne przymioty kandydata na radcę Towarzystwa kredytowego ziemskiego...

Przemawiano na różne sposoby do serc ziemian, posługując się wszelką bronią.

Jeden sławił cnoty obywatelskie, drugi zalecał bezstronność, trzeci radził nie kierować się osobistymi sympatiami, lecz dać kreskę temu, który pożytecznie i umiejętnie pracować potrafi.

Dano nawet satyryczny upominek zalotnikom, ubiegającym się o rękę staruszki Dyrekcyi.

Przypomina to uwagi jednego z naszych humorystów, dotyczące przymiotów, jakie posiadać winien dostojnik i działacz na niwie społecznej.

„Nie powinien on być (słowa humorysty) zbyt wysokim, aby go wypadkiem wiatr nie przełamał, ani zbyt małym i szczupłym, boby w sobie wszystkich przepisów i paragrafów obowiązujących nie pomieścił.

„Wszystkie części ciała winien mieć proporcjonalne, twarz gładką, rumianą, bez brodawek i wszelkich podejrzanego natury wysypek...“

Bałucki jeszcze krócej się załatwił, dając lakoniczną odpowiedź:

„Radca... to jest radca!“

— „Dobrodziejaszku mój kochający! — prawił dobrze szpakowaty, ale krzepki i wesoły staruszek, posiadający wioskę porządnie zagospodarowaną i z czystą hypoteką.—Tyle lat żyje już nasza instytucja ziemianka, ot obchodzić ma jubileusz...

„I wybieraliśmy różnych ludzi do władz Towarzystwa, i wybieraliśmy dobrych...

„Trafił się czasami taki, co to ni z pierza, ni z mięsa nie przyczynił pożytku, ale i szkody nie zrobił, bo co może być za szkoda?“

„Ale zawsze w zarządzie instytucji byli i są tacy, co z pośród nas najlepsi. Robią co do nich należy pilnie i uczciwie.

„Zapewne... musi być czasami za wiele ruty, za wiele formalistyki... W czynnościach biurowych to rzecz zwyczajna. Jest to ogólne niedomaganie ciężkiej maszyny, którą należałoby uprościć... Ale to zrobić można tylko powoli, z rozmysłem i ostrożnie.

„Instytucje finansowe lubią iść sobie poloneza, a jako stateczne niewiasty, noszące w sobie powagę i błogosławieństwo kapitału, unikają krakowiaków i wyrwasów.

„Słyszałem, że powstawano na fraki przy wyborach... Stanowczo jestem przeciwny takiej innowacji.

„Mam frak, który już mi z górą trzydzieści lat służy do spełniania posług obywatelskich. Trzeba go koniecznie co czas jakiś przewietrzyć, bo spleśnieje.

„Co do reszty garnituru w owym stroju pontyfikalno-wyborczym, nie upieram się... Sam już zaprowadziłem różne modyfikacje...

„Najdłużej jednak utrzymały się i trwają dotychczas: pikowa kamizelka z wykładem i szerokie nankinowe spodnie...

„Za tą formą przemawiam. Bo surduty zmieniają się... Raz długie, raz krótkie poły. Klapy to szerokie, to wąskie... A frak zawsze frak!

„Niektórym z wyborców wyglądały wprawdzie ogonki od fraków z pod paltotów, kiedy była moda na paltoty kuse. Ale obecnie dłuższa niedziela od piątku, więc i ogona od fraczka nie widać.

„A wyborca we fraku, choćby miał dalsze ciągi w kratki, a nawet w paski, nosi w sobie powagę stanu... Jest treść i forma.

„Sprawiać nowy tużurek, za ciężkie czasy... A w marynarce nie uchodzi. Poły za krótkie!“

Słowa staruszka zachowawcy notujemy w imię zasady: „Moi mili krawczykowie“ i t. d. *d.*

✳

Dozorczyni chorych.

Jedno z pism podało wiadomość, iż w Gdańsku od lat dwóch pracuje około 42-ch kobiet, jako miejskie dozorcynie chorych. Działalność ich okazuje się niezmiernie użyteczną i budzi pragnienie, aby nie stawiano jej żadnych ograniczeń.

Wzmianka powyższa zbiegła się z artykułem d-ra Z. Kramsztyka, który w „Kuryerze Warszawskim“ zwiastuje, iż miasto nasze zdobywa ostatnimi czasy zastęp dzielnie pod okiem lekarzy specjalistów wywiczonych sił niewieści, oddanych wyłącznie pielęgnowaniu chorych.

Kto poznał z własnego doświadczenia, jak często rodzina traci głowę wobec nagłej niemocy któregoś z członków swoich; kto spotkał się z niezaradnością najbardziej kochającej matki wobec syna, siostry wobec brata, żony wobec męża, skazanych na śmierć pewną w razie braku dzielnej i sprawnej opieki,—ten przyzna, iż wiadomość, podana przez d-ra Kramsztyka, winna być powitana z radością.

Nieliczna garstka zawodowych dozorek, tułająca się dotychczas po Warszawie bez żadnej ściślejszej organizacji, narażoną była na brak pracy często skutkiem tego jedynie, iż potrzebujący nie wiedzieli, dokąd zgłaszać się po nie.

Obecnie złemu temu zaradza biuro pań: Piaseckiej i Roszkowskiej, podjąwszy się pośrednictwa między podażą a popytem na tem polu.

Zajęcie dozorek, jakkolwiek ciężkie i trudne, ma dla niektórych kobiet, ducha ofiarności pełnych, urok nieprzewyciężony: zdawałoby się, iż przychodzą one na świat po to tylko, by osładzać ciężkie chwile niemocy skazańcom, nieraz dzięki ich zabiegliwości ze szponów śmierci wyrwanym.

Takie, gorącym współczuciem dla cierpiących natchnione istoty szczerze zachęcamy do podejmowania zawodu, którego doniosłość moralna jest nieocenioną, materialnie zaś zapewnia byt względnie przyzwoity. *ew*



Artur Gruszecki: Na drugą półkulę.

Sprawozdanie specjalne delegata Tygodnika ilustrowanego.

14.)

W DZIEWICZYM LESIE.



a pierwsze wejrzenie przedstawia las dziewiczy bezładny, szalony swem bogactwem i różnorodnością chaos krzewów, roślin, zieleności, barwnych liści i jaskrawych kwiatów. Robi on wrażenie olbrzymiej fali wybuchającej roślinności, zwartej, skłębionej, splecionej, dążącej z niesłychaną siłą do światła, do słońca.

A ponad tą masą zieleni, purpurowych, złotych, pomarańczowych, fioletowych, błyszczących, lakierowanych i matowych liści przeróżnych kształtów; wśród strzelających kwiatów białych, różowych, amarantowych, błękitnych, złotych, wznoszą się w górę, jak maszty zatopionego okrętu, rozpaczliwie ku niebu wyciągnięte, trupie, obdarte, białawe konary olbrzyma-drzewa. Zginął w śmiertelnych uściskach lian, pyszniących się w jaskrawo-białym słońcu barwnymi kwiatami, a z każdego górnego załomu pnia krwawią się koronami kwiatów, najczęściej purpurowych, pasorzyty.

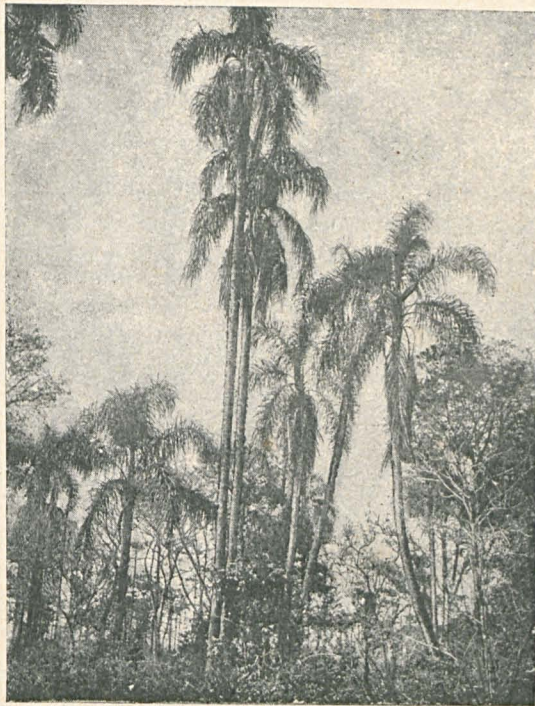
Miejscami, gdzie padł niedawno zmurzały olbrzym leśny, ciągnąc za sobą ku ziemi wrogów, którzy go zgładzili, tworzy się szczelina, rodzaj okienka, pozwalającego spoj-



Dziewiczy las.

rzyć w tę puszczy leśną. Z razu jaśniejszy, głębiej ciemny mrok panuje, chociaż wierzchołki iskrzą się w słońcu. Tam widzi oko jakieś wiotkie pnie, ciemnozielone krzewy, girlandy zielone, poprzerzucane z drzewa na drzewo, i jak węże zwieszające się gałęzie, czy olbrzymie ssawki lian.

W taki to las wybrałem się wczesnym rankiem z młodym kolonistą Grzelą, śmigłym, silnym, zwinnym górale z pod Nowego Sącza, który od dziecka, bo od dziesiątego roku życia żył się już z tym lasem i jest namiętym myśliwym. Wązką ścieżyną weszliśmy w las, który w niczem nie przypomina naszych borów, ani szumu, orzeźwienia, zapachu; wilgoć tylko i woń rozkładających się trupów roślinnych; światło zielonkawe, nie-



Palmy brazylijskie.

przyjemne, i wokoło nie dające się przejrzeć ściany roślin i krzewów.

O trzy, cztery kroki kończy się siła oka, i tak jest przed nami, za nami i z boków. Cicho, słychać szelest rozsuwanych gałęzi, trzask suchego drzewa pod nogą, i tylko czasem gdzieś niewidzialny, bo siedzący nad zielonym sklepieniem, zaświergoce ptak, i znów cisza.

Nagle, gdzieś w oddali rozległ się krzyk, gardłowy wrzask: mhii... huuu, z wciąganiem w siebie drugiej części, a powtórzyły go liczne głosy.

Grzela stanął.

— To małpy wrzeszczą... może się uda... pan pójdą tą pikadą (portug. picado, ścieżka), a ja bokiem, ino ostrożnie, bo psie pary okrutnie stróżliwe.

— Iść prosto, czy skrócić?

— Jedną pikadą, i tej pan pilnuj; a bacz pan, aby gada nie nadepnąć, bo schwyci szelma; puść go pan spokojnie w las.

— A jak małpy podchodzić?

— Mądre są bestye, stawiają straż, a i na zwiady wysyłają, ale póki wrzeszczą, można iść śmiało.

— Gdzie się spotkamy?

— Już ja pana znajdę... a pikadą zawsze można wrócić.

Z pewnym wahaniem poszedłem ścieżką, po chwili dopadł mnie Grzela.

— A pilnuj pan dobrze: bywa, że i kocisko podchodzi małpy... hej, gdyby go ustrześć! — zaśmiały mu się oczy.

Zostałem sam na wązkiej ścieżynce, ledwie znac-

nej po krótszej, pomiętej roślinności. Posłuszny wskazówce, gdy małpy przestały wrzeszczeć, stanąłem. Spojrzałem w około: co za przepych, bogactwo, rozrzućność form i barw, i jaka szalona, przerażająca swą bezzwzględnością walka o byt, o każdą piędź ziemi, o każdy promyczek światła, jak wyzyskana każda podpora! Tuż przy mnie zdobi swój wierzchołek na wzór palm, drzewiasta paproć, obok osypana kwiatami barwnymi wysoka fuksya, głębiej w drzewo urosłe, rozłożyste mirty, bogate rycinusy, wspaniałe oleandry i tysiące roślin, kwiatów, prawie wszystkie bez zapachu, bo tu, w tem słońcu, zaledwie cień zapachu posiadają róże i magnolie, reszta oddała swą duszę gorącym promieniom słońca.

Pod nogą mam drzewo do dwunastu cali obwodu, z korą splekaną, szarą; śledzę je, i o kilka kroków ujrzałem je owinięte o wspaniałą pień cedru: to liana, przez kolonistów powrozem zwana, już dosięgła połowy pnia żywego, i spuszcza na dół mocne, chociaż wiotkie ramiona, czyhające, by oplątać nową ofiarę.

Czasami wiatr, krzew pomoże do schwycenia innego drzewa, albo też dosięgłszy ziemi pełza, posuwając się cieniutkimi korzonkami.

Wobec tej rozhukanej roślinności i walki na śmierć i życie, czuje się człowiek małym i prawie bezsilnym, a jednak polski chłop nie uląkł się ani dziewiczego lasu, ani tego wiecznie odnawiającego się wroga, zagłuszającego jego posiewy; wściekłą pracą zdobywa kawałek lasu, broni go przeciw Indyanom, robactwu, małpom, ptakom i nieustannemu naporowi dawnych panów tej ziemi, leśnym bracingom, tacuarom, putingom, i jak się tam nazywa ten plebs poprzędający wspaniałe drzewa lasu dziewiczego. Zdobył tę ziemię i trzyma całą siłą mięśni i mózgu.

Znów małpy wrzasnęły, idą dalej, i coraz bardziej jest mi obco, przykro, niemiło; wokoło siebie czuję zdradliwe, wrogie siły, które mnie zdepcą, zduszą, zmiażdżą. Nasłu-



Kolonia polska.

chuję rozpaczliwego wrzasku małą, z przygłuchem, wciąganiem wyciem: huuu!..., i ogarnia mnie jakiś lęk, że do tej natury, do tego lasu, do tych małą wkradam się bezprawnie, że te wszystkie drzewa, liście, kwiaty patrzą na mnie i szeptem pytają: skąd, po co, dlaczego tu przyszedłem?

Stanąłem... Gdzieś w górze skrzek, potem jednostajny świegot ptaka, żadnego śpiewu, żadnej melodyi, gdyż z wyjątkiem gatunku drozda i kosa, wszystkie inne ptaki świegocą w rodzaju naszego trznadla. Było to trochę widniejsze miejsce i co za wściekła walka roślin: trzciny, bambusy, palmy, fuksye, embuje, figusy, paprocie splątane wyrywają sobie już nie ziemię, lecz powietrze.

Patrzałem z przykrością na tę niemą walkę na śmierć i życie, w której słaby pada, a mocny ginie zdradziecko w uściskach pijawek lian, pięknych orchidei, błyszczących, ananasowatych pasorzytów. I porwała mnie niewysłowiona tęsknota do pól, do zagonów, do „srebrnego żyta, złotej pszenicy,” do słońca, do swoich. Dokuczały mi kształty, drażniły kwiaty, bolał przepych... zapragnąłem słońca, i ziemi, naszej ziemi!

Padł strzał Grzeli... mały wrzasnęły i umilkły.

— Był kot,— mówił zdyszany — ale nie dostał w komorę i śmignął w bór... nikiel cielak dobry... szkoda, okrutna szkoda...

— Wracajmy.

— Już?... Pójdźmy nad wodę, może co ustrzelimy... wstyd z pustką wracać. Rozpowie pan tam u nas, i śmiać się będą.

Dziwnie smutna, przykra woda, podobna do oka pokrytego czarną kataraktą, posępna, czarnawa, odbija ciche drzewa nadbrzeżne, wybują rośliność i ciemne niebo.

Gdzieś na skraju, wrzask dziecka małego, męczonego przez oprawców: to głos żaby a tuż odezwały się młoty w kuźni, huczące, z przytłumionym dźwiękiem: to bracia i siostry dziecka rzewnie płaczącego.

Stało się zadość ambicyi Grzeli: zabił szarą czaplę i wielkiego nura.

Wyszliśmy z lasu dziewiczego... Oddycham w słońcu!

PUŚCIZNA KAROLA MARCINKOWSKIEGO.

W setną rocznicę urodzin *).

Ubiegłym tygodniu Polacy Księstwa Poznańskiego oddawali hołd pamięci człowieka, który poświęcił całe swoje życie, czynne i bogate, naszej dzielnicy.

Marcinkowski urodził się w Poznaniu 23 czerwca r. 1800, jako syn ubogiej rodziny mieszczańskiej. Pierwsze nauki pobierał w mieście rodzinnem, w gimnazjum Maryi Magdaleny, a studia lekarskie odbył przy uniwersytecie berlińskim. Po roku 1823 pracował jako lekarz-filantrop w Poznaniu, gdzie zwrócił na siebie powszechną uwagę głębszą nauką i umiejętnością, przeświadczeniem o wysokiej misji obranego zawodu i gotowością na usługi bliźnich, zwłaszcza nieszczęśliwych i ubogich.

Ze złotym krzyżem „Virtuti militari” udaje się nasz Wielkopolanin na obczyznę, by uzupełnić swoje wykształcenie lekarskie wędrowną nauką po Szkocji, Anglii i Francji. Jednakże rozumiał, że byłoby grzechem wywozić z kraju ręce zdolne do pracy; rwała mu serce miłość, co to nęci wiecznie duszę w kraj pamięci, więc już w r. 1834 opuścił Paryż i wrócił do Poznania.

Nastaje okres piękny i zaszczytny w dziejach Księstwa, a na każdej karcie czytamy tam imię Marcinkowskiego. Obok niego stoją: Libelt, Jędrzej Moraczewski, Gustaw Potworowski, Maciej Mielżyński.

Żyła u nas wówczas gromadka ludzi rozumnych i wpływowych, gotowa w obecnym położeniu do pracy zbiorowej nad oświatą i dobrobytem. Czekano tylko na wodza i przyjęto Marcinowskiego jednogłośnie.

Dwa dzieła, z których jedno oglądamy

*) Obecny skład Towarzystwa Pom. Nauk. im. Marcinkowskiego stanowią: 1) Hr. Józef Mielżyński, prezes; 2) ks. kanonik Echaust, zastępca prezesa; 3) radca dr. Zielewicz, sekretarz; 4) poseł Władysław Jerzykiewicz, podskarbi; 5) poseł szambelan Cegielski; 6) ks. kanonik dr. Dziedziński; 7) radca sprawiedliwości J. Głębocki; 8) poseł ks. Wawrzyniak; 9) radca dr. Koehler; 10) hr. M. Kwilecki; 11) hr. J. Mielżyński; 12) ks. kanonik Pędziński; 13) ks. prałat Woliński; 14) dr. Stanisław Jerzykowski; 15) wice-marszałek hr. T. Żółtowski.



Karol Marcinkowski.

jeszcze codziennie, powstały w tej epoce z jego myśli i czynu: Towarzystwo Naukowej Pomocy i Bazar Poznański. Celem pierwotnej Spółki Bazarowej było wspieranie handlu rodzimego, przemysłu i rolnictwa. Z biegiem lat instytucja ekonomiczna zamieniła się na Towarzystwo akcyjne o innych dążnościach. Z pierwotnej rzeczy pozostało tylko imię, bo po dziś dzień mieszkańcy Poznania nazywają Bazarem gmach, stawiany przez Marcinkowskiego, a stanowiący główne źródło dochodów dawnego stowarzyszenia.

Marcinkowski wyprzedził współczesnych głębiem zrozumieniem środków kojących. Do najdroższych po nim pamiątek należą dwa pisma, w których złożył swoje „Credo” społeczne: jedno odczytane wobec inicjatorów towarzystwa „Opieki nad ubogimi,” drugie na walnym zebraniu Pomocy Naukowej w r. 1844.

Na pochwałę ówczesnego społeczeństwa Wielkopolski należy przyznać, że przez kilka lat wszystkie głowy chyliły się przed tym drobnym, wychudłym, ciągle kaszlącym człowiekiem, który tak często przejeżdżał konno ulice Poznania w drodze do chorego. W domu doktora na Starym Rynku zbierało się całe Księstwo na poufną rozmowę przed każdą ważniejszą sprawą. Dlatego zawsze tam było ludno i gwarno. Nie mieszkanie prywatne to było, lecz jakiś znaczny i ruchliwy przystanek na szerokim trakcie robót społecznych. Ale czar prysnął. Niestrudzony pracownik doświadczył, że niema żadnej przesady w słowach: „Wasz to obyczaj—cierń w życia przeciągu kłaść im na głowę! Kwiat—aż na posagu.”

Marcinkowski opierał się prądom rewolucyjnym w r. 1846. Ta odwaga głoszenia odrębnych przekonań naraziła go na ostracyzm większej części społeczeństwa, a przyszło do tego tem łatwiej, że się już niejednemu zaczynała przykrzyć ta hetmańska buława, ciężka i niewygodna, która ciągle nakazywała: „Dawaj, pracuj i nie myśl o sobie!” W znękanym organizmie dawna gruźlica płucna jęła czynić straszne spustoszenia. 7 listopada 1846 r. w Dąbrówce Ludomskiej pod Poznaniem skonał Marcinkowski na rękę przyjaciół Łakomickich i hr. Macieja Mielżyńskiego. Właściciel Dąbrówki postawił zmarłemu pomnik w ogrodzie. Przed czterema laty Dąbrówka z ogrodem i pomnikiem przeszła na własność Landbanku hakatystów.

W listach, mowach i testamentie Marcinkowskiego złożone są świadectwa jego pracy nieznużonej, nieustannej, wolnej od wszelkich próżności i ambicyi osobistych. Lepszym i wzmocnionym odchodzi się od tych kartek, z których bije przedziwna czystość i piękność życia.

Mógł o sobie powiedzieć ten abnegat, który dla cierpiących i ubogich miał poprostu kobiecą słodycz i tkliwość, że przeszedł przez ziemię, nie dotknawszy stopą żadnej mętnej wody i żadnego pyłku egoizmu, czy spopolitości.

Tradycja wielkopolska przechowała

wspomnienie idealnej miłości doktora Marcinkowskiego do niedawno zmarłej panny Emilii Szczanieckiej, najzaczniejszej z naszych kobiet tego wieku. Kiedy duszę gorącą mógł



Józef hr. Mielżyński z Iwna,
prezes Towarzystwa pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego, dla młodzieży W. Ks. Poznańskiego.

ogarnąć „trawiący oddech światowych uniesień“, młody lekarz nie śmiał powiedzieć, że kocha, bo czuł się za mały. Później Gustaw stał się Konradem, i wszystkie uczucia popłynęły innem łóżyskiem.

Tylko najstarsi mieszkańcy Poznania wspominają Marcinkowskiego. Chyba przypadkiem oryginał jakiś zabłąkał się na stary cmentarz, aby pogadać z duchem, którego ziemską powłoka spoczywa pod szarą płytą granitu. A przecież wśród nas żyje i rośnie jego dziecko najmilsze, cudowny owoc jego życia: Naukowa Pomoc imienia Karola Marcinkowskiego.

Znaczenie Pomocy Naukowej jest dzisiaj większe niż kiedykolwiek. Z początku trzeba było otwierać oczy niższym klasom na dobrodziejstwo nauki, chodzić po warsztatach, po szkołach wiejskich i szukać wśród pyzatyń twarzyczek i lnianych czupryn błysków żywszej inteligencji.

Instytucja kształciła wtenczas przeważnie wyższych rzemieślników, kupców, agronomów; tylko małą garstkę sposobila do zawodów naukowych. Później stosunek odmienił się. Coraz większe było zapotrzebowanie ludzi z uniwersyteckim wykształceniem. Także dochody towarzystwa płyną skąd inąd. Dawniej ono wspierało się na szlachcie i inteligencji; dzisiaj opiera się na całym prawie społeczeństwie, bo nawet właścianie zaczynają gromadzić składki dla komitetów powiatowych. Wszyscy otaczają towarzystwo pieczołowitością; rok nie upływa, żeby większy zapis nie przechodził do kasy Pomocy Naukowej, bo każdy wie, że tym sposobem postawi sobie najwspanialszy pomnik żywy i zawsze świeży.

Członkowie Dyrekcji rozdzielili między siebie na poszczególne decernaty sprawy dotyczące się młodzieży w gimnazyjach, uniwersytetach, politechnikach i szkołach zawodowych. Na zebraniu referent składa przed dyrekcją sprawozdanie z postępów i zachowania

się stypendystów. Jemu więc studenci, należący do odpowiedniego decernatu, posyłają książki imatrikulacji i świadectwa egzaminów, jego się radzą, do niego zgłaszają się w dalszym życiu o poparcie.

Prośby składane bywają na ręce sekretarza; o udzieleniu stypendyum rozstrzyga większość głosów. Wychowawcy towarzystwa muszą się uczyć i pracować, bo niepowodzenie, chorobą nie wytłómaczone, pozbawia zapomogi. W roku 1899 Pomoc Naukowa wydała na stypendya 60,000 m. Ona jest dzisiaj taką instytucją, że nikt się nie wstydi do niej zapukać, bo to nie datek, ani jałmużna.

Pomoc Naukowa na to jest, żeby dawała. Kto z niej czerpie, nie odbiera łaski od kilkunastu osób prywatnych, lecz zaciąga dług u społeczeństwa. Każdy jest mniej więcej jego dłużnikiem; chodzi tylko o to, by najlepiej swoją cząstkę zapłacić. Z Pomocy Naukowej korzystają synowie wszystkich sfer, bo nie-szczęśny bieg wypadków i nasze własne grzechy skazują na pomoc społeczeństwa niejednego chłopca z pierwszych wielkopolskich rodzin.



Dr Ignacy Zielewicz,
sekretarz Tow. pomocy naukowej.

Niemcy z nad Renu i Westfalii dziwią się, że „in den Ostmarken“ ludzie wykształceni mówią jeszcze po polsku. Mała pociecha; ale że tak jest, to w znacznej części zasługa Naukowej Pomocy.

F. B.

Ku uczczeniu Hermana Benniego.



Wiosna sieje po ziemi światło i ciepło, wlewa w żywą przyrodę skarby twórcze. A tu śmierć oszpeca życie zgonem, wydziera ludziom przyjaciela, ziemi—syna... Kochał nas, i myśmy go kochali! Grób, czarny kwiat żałości, stanął między nami, niewoli duszę do smutku, płaczu. Czemże jest życie człowieka? Wyczekiwaniem śmierci, a nim ona przybędzie—płaczem na mogiłach nieboszczyków drogich sercu? Stało się! Wieko trumny zapadło, ziemia przyjęła w objęcia pątnika, który w pielgrzymce po niej nie znał dwóch dróg żywota. Czyny ciche a piękne zostały po nim i zawody gorzkie, ponieważ usiłował wcielić w życie, urzeczywistnić ideały wzniosłe. Wysiłki ducha, nadzieje zniszczone, rozczarowania, zawody, śmierć i nareszcie grób ciemny!... On jednak umarł pełen wiary niewzruszonej, że ludzkość pokona wszelkie zło, że przywilejem, prawem żywych jest walka, nie rozpacz. Cześć Ci, wynawco dobrej wiary, czcicielu gorliwy prawdy i cnoty! Los twardy gnębił człowieka w wędrówce doczesnej, a po śmierci okazał Mu szczodrość w tem jeno, że lzy wylane na grobie są tak szczerze czyste, jak dusza nieboszczyka, że żałosc po nim jest prawdą rzetelną, a prawda była pochodnią jego życia. Opuścił nas żywych, umarł—straszne słowo! Dla nas przyjaciół—epoka boleści, wylom w uczuciach nie dający się niczem zapełnić... Żal, żal taki ciężki! Druhu zacny, chce się jeszcze uściskać Twoją dłoń, za-

kląć Twe serce szlachetne: „Pozostań z nami choć na chwilę...“ Trudno! Odszedł w głąsę wieczności, dokąd żaden głos nie dolata, skąd nikt nie wraca. Pozostała z nami jedynie ta cząstka jego duszy, którą przez obcowanie w nas przelał. Umiał być przyjacielem!... Kroczył po rycersku przez padół niedoli, i ta śmierć, dla nas tak bolesna, nie trwożyła go wcale. Spełnił czarę z cykuta życia i spokojnie oczekiwał zgonu. „Wolno biegniecie, konie śmierci!“ — mówił, kiedy ostatnia godzina wybijała. Bo z Grecji starej czerpał cześć dla mądrości, z Rzymu—stałość obywatela, od Chrześcijaństwa—miłość bliźnich, podwalinę cnót społecznych i—szacunku dla wszystkiego, co jest wielkie, piękne w ludzkości. On był przez rozum mędrcom, przez cnoty—obywatelem, przez serce—miłośnikiem ludzi. Cierpienia osobiste nie rozgryzały jego duszy pogodnej, nie odwracały umysłu od spraw ogólnych. Wiedział, że człowiek nie przynosi z sobą na świat uczuć wysokich, stanowiących dostojność człowieczeństwa. Jednostka musi się uznać w ciągu życia pracą swojej własnej duszy. „Trzeba walczyć — powiadał — ze zwierzęciem, które drzemie w każdym pod powłoką nauki, cywilizacji a — ma gniazdo w grubym samolubstwie. Prawdziwie ludzki obowiązek polega na udoskonaleniu duchowem naszego gatunku, ale biada społeczeństwu, jeżeli ich rozwój moralny jest w rękach ludzi, którzy nie rozpoczęli od siebie dzieła uszlachetnienia!“ Był po-błażliwy dla innych, ponieważ rozumiał dobrze, jak niezmiernie trudno wznieść się na wyżyny cnoty drogą poświęcenia wszystkich pragnień samolubnych. Sam atoli chciał być i był panem siebie, o ile słaby śmiertelnik zdoła. W tem też tkwi wytworność człowieka szlachetnego i, niestety—źródło jego niedoli! Raz sobie wytknął drogę, poszedł po niej i nie zбочył. Przecież życie jest niwą rozkoszną: piękne kwiaty szczęścia kwitną, owoce słodkie korzyści i dobrobytu dojrzewają, nawet wawrzyny sławy dają się nieraz uszczknąć bez wielkich wysiłków. Ludzie pożądliwie gonią za tem, szczęśliwi, kiedy posiadają jedno czy drugie. Nie poszukują tylko niedoli, a jeżeli ją znajdują w pogoni za szczęściem, wynoszą stąd naukę na przyszłość: stają się ostrożnymi i zręcznymi mistrzami życia. Ty, przyjacielu, byłeś zawsze niezdarą szlachetnym!.. Jadłeś twardy chleb cnoty i nie stawałeś nigdy do wyścigu życiowego. Los nie wieńczy takich. Poszedłeś własnowolnie ku owej skale z krzyżami, którą inni starannie omijają. Dla ciebie nie wystarczyło to, co popłaca w świecie—pozory cnoty. Wziąłeś na się i dźwigałeś, niby skarb najdroższy, brzemie, które zwiększa tylko ciężar dolegliwości życiowych, a stanowi przeszkodę używania. Pracą własną wypielegnował szlachetne ziarno a kiedy dojrzało, to prosto, skromnie i bez wahania spełniał obowiązki, co inni uważają sobie za poświęcenie. Był tem szczęśliwszy z czynów swoich, im mniej świat zwracał uwagi. Starczyło mu zawsze za najwyższą nagrodę kochać, przebaczać, współczuć z nieszczęśliwym, pracować uczciwie bez względu na korzyść, być jako obywatel i człowiek czystym. Nieugięty w prawości i postanowieniach wzniosłych, nie zniżyłby się do roboty za cenę jakichś oklasków. I to stanowiło istotę człowieka, filozofa-idealisty, który nigdy nie zwątpił o sprawie ludzkości. Chociaż pracował dla społeczeństwa szczerze i z miłością, żył jednak w tem społeczeństwie jak pustelnik, używając rozkoszy duchowych wśród ksiąg i swoich ideałów. A nie było w tem najmniejszej goryczy, żalu, niechęci dla ludzi: było to uszanowanie pięknie odczutej godności osobistej, która się ze swoim „ja“ nie narzucała. Skromny a dobry jak gołąb, mędrzec dobierał sobie wykwinne towarzystwo z pomiędzy myślicieli ludzkości, albo obcował „Lukullus z Lukullusem.“ Kto nie zna bliżej takiego samotnika, nie wie o jego wartości i zasłudze. Zgasł, a zgon zupełnie odpowiada życiu męża: spokój, cisza pełna godności, brak rozgłosu. Przyjaciel wierny do deski grobowej otworzył serce nad mogiłą, załkali ci, z którymi zmarły związał się krwią serdeczną. On sam nie zrobił w życiu kroku, ażeby uwydatnić swoją wartość, zwrócić na się oczy świata. Jeżeli cierpiał, to nie wydał okrzyku bólu; czynił dobrze i zawsze w cichoci; myślał podniosłe, czuł szlachetnie, a rzadko otwierał bogatą duszę wśród nielicznych przyjaciół. Świat poszukuje zasług ludzkich, jednak często znajduje jeno takie, które tkwią płytko i same już za życia czyniły wysiłki, aby się rozgłosić. Atoli robota sprawiedliwego nie bije w oczy, a cały wdzięk jej polega na skromności rabotnika. Piękne są często-

kroć żywoty ludzi, choć nieopisane. Jak nań przystało, żył dla pożytku bliźnich, a wykonywał pracę niewdzięczną nie dla rozgłosu. Był wychowawcą młodzieży i wiedział, co to jest wychowanie człowieka. Miał bowiem podstawę szeroką w owych ideałach wspaniałych, które ludzkość starannie wypracowała przez wieki długie, w owych pragnieniach najwyższych, dziejowo wypielegnowanych przez umysły najszlachetniejsze. Praca wychowawcy jest niewdzięczna, ponieważ, rozbudzając zapał dla cnoty i prawdy, ogranicza samolubstwo, utrudnia życie i używanie. A bądź co bądź stare zwierzę kłamstwa, pychy, chciwości, zdrady, jeszcze szeroko panuje na świecie i obraca wniwecz dorobki dziejowe najlepszych przedstawicieli ludzkości. On posiadał samowiedzę ważnego posłannictwa, czuł swoją godność ludzką, przeto śmiało podjął dostojny sztandar. Był tą jednostką rzadką, która zdobyła sobie prawo kojarzyć z przyszłością wszystko, co jest najzaczniejsze w przeszłości naszego gatunku. Żył jedynie dlatego, aby przekazywać potomności współczucie z najpiękniejszą stroną dziejów i posuwać naprzód dzieło uszlachetnienia człowieka. Robota—wielce złożona! Mógł ją podjąć tylko człowiek, który był księgą żywą wiedzy, uosobieniem wielkich dążeń dziejowych, które w jego duszy czyste zmienily się prawie w nalogi. Żądza zysków, próżność, zarozumiałość i wszystko, w co się uzbiera nisko zwierzę samolubstwa, było obce dla niego. Praca takiej jednostki jest zawsze jej tajemnicą. Niejeden spełnia za życia bez nagany obowiązki i kiedy umrze, ludzie mówią: „Wywiązał się z zadania dobrze!“ Ale bywają wybrańcy, którzy nie znają granicy tego „dobrze“, a uznanie ogółu, nawet niewdzięczność, są dla nich obojętne. Geniusz ludzkości niespracowany od wieków wykonywa z dnia na dzień olbrzymie dzieło przetworzenia świata staro na nowy. Cześć wszystkim, którzy wzięli w tej sprawie udział czynny i, rzucając w różne wieki, poświęcili dla niej cele samolubne! W podziale pracy ogromnej i Ty, druho, spełniłeś godnie swój obowiązek, nie opuściłeś sztandaru nawet wtedy, kiedyś się znalazł odosobniony! Przyjaciele i towarzysze broni, płacząc na Twym grobie, oddają Ci cześć należną tylko—*sum cuique!*

ADOLF DYGASIŃSKI
w imieniu garstki przyjaciół



Zabytki warszawskie

przez Alexandra Kraushara.



Pamiętka po ostatnich książkach mazowieckich.

W izbie radzieckiej dawnego ratusza staromiejskiego zawieszony był obraz olejny, pendzla nieznanego malarza z pierwszych lat wieku XVI, wystawiający Stanisława i Janusza, ostatnich książek mazowieckich, oraz siostrę ich, Annę, której losy dramatyczne opisał nieodżałowany prof. Pawiński w przeszlicznej monografii źródłowej, p. t.: „Ostatnia księżna mazowiecka“ (Warszawa, 1892). Cechy współczesności owego portretu, zdobiącego obecnie jedną ze ścian sali radnej Magistratu warszawskiego, stwierdził ostatecznie prof. Gerson, przyczem sprostowano omyłkę Kazim. Stronczyńskiego, który w dziele swem: „Pomniki książęcych Piastów“ (Piotrków, 1888 r., str. 141), zaopiniował, iż postać niewieścia na wzmiankowanym portrecie wyobraża matkę książek, z imienia Annę, nie zaś ich siostrę tego samego imienia.

Po zgonie owych ostatnich Piastowiczów, księstwo Mazowieckie, jako lenne, z mocy wcześniejszych umów, winno było przejść do Korony i utracić charakter dzielnicy odrębnej.

Stanisław skończył swój żywot w roku 1524, Janusz—we dwa lata później. Śmierć ostatniego księcia nastąpiła tak niespodziewanie i w warunkach tak wyjątkowych, że zastała nieprzygotowanych zarówno króla, jak i dostojników i szlachtę mazowiecką. Skorzystała z owego zamętu księżniczka Anna i postanowiła, wbrew prawu, utrzymać przy sobie władzę. Pół roku prawie piasto-

wała w swych rękach rządzą Mazowsza, zachęcała do tego objawem przywiązania ludności księstwa. Ale w końcu wypadło uleść smutnej konieczności. Anna oddała się w opiekę królowi Zygmuntovi Staremu, przyjęła od niego opatrznie, wzięła kilka miast na Mazowszu i zamek Liwski, sama zaś osiadła w zamczku Osieckim. Zateśkniwszy wszakże do szczęścia rodzinnego, jako trzydziestokilkolletnia panna, oddała rękę młodemu wojewodzie podolskiemu, Stanisławowi ze Sprowy Odrowążowi, a ten wypadek, przewidziany w umowie z królem Zygmuntem, spowodował pozbawienie jej wszelkich korzyści, zapewnionych łaską królewską. I tym razem księżna Anna nie chciała zrazu uleść przeznaczeniu. Na przewlekłym sejmie stoosmiodniowym, odbytym w roku 1537 w Krakowie, który dał początek anarchii pod Lwowem (Kokosza wojna), zapadł dekret pozbawiający księcia małżonka starostwa Lwowskiego i Samborskiego, żonę zaś jego—wielce dóbr oprawnych na Mazowszu.

Wtedy to zatarły się ostatnie ślady pobytu rodziny Piastów na ziemi Mazowieckiej.

Oprócz wspomnień historycznych, które budzi w widzu malowidło magistrackie, jest ono i dla artystów i badaczy cenną wskazówką co do kostiumów staropolskich z XV wieku. Na herbach, umieszczonych przy obliczach rodzeństwa Piastowiczów, widać litery gotyckie J. (Janusz), S. (Stanisław) i A. (Anna). Wykonanie artystyczne portretów dowodzi niepospolitego talentu ich twórcy.

Wiktor Gomulicki.



W I E R S Z Y K I.



PIENIĄDZ.

Pieniądz wytwarza siłę i sam łączy do siły;
Wszędzie go najsilniejsze ręce pochwyciły.
Zważcie u kogo pieniądz, a wnet się dowiecie,
Co w danej chwili siłą zowie się na świecie.

DŁUGIE ŻYCIE.

Samolub i rozkoszniś zwykle żyją długo;
Lecz każdy, jednej myśli zrobiwszy się sługą,
Daremnieby latami długość życia mierzył:
Kto nie cierpiał—nie kochał; kto nie kochał—
[nie żył.

MODLITWA.

Módl się o wszystko; módl w każdej potrzebie;
Módl się, nie patrząc, czy się prośba łąci.
Póki się modlisz, gościś duszą w niebie—
Małoż ci jeszcze z modlitwy korzyści?

X.

I bez widocznej rany ludzie giną;
Myśłami można struć się jak strychniną,
Duch, z rozbitego nieszczęściem człowieka,
Jak eter z czary stłuczonej ucieka;
I najsilniejsi padają, zabici
Czemś, czego żaden zmysł nasz nie pochwyci,
I co się w mrokach, po zbójceku, chowa
Jako na ptaki zaczajona sowa...

MUZYKA MYŚLI.

Mnie muzyki nie trzeba. W mej głowie
Ruch się myśli odbywa rytmiczny,
A symfonia żadna nie wypowie,
Jak jest równy, zgodny i muzyczny.
Taż harmonja, co sfery kołysze,
Moją głowę napelnia swem granicem—
To zaś wszystko, co mówię i piszę,
Niemowlęcem jest jej podrzędniciem.

KRYTYKOWI.

Czemu zowiesz mnie sfinksem? Toć jam pro-
[stak szczerzy,
Którego przykazaniem: dwa a dwa to cztery.
Gdy dla ciebie prostota sfinksovą zagadką,
Mógłbym myśleć, że sam z nią przestajesz zbyć
[rzadko.

BOGACZOWI.

Szczęśliwy jesteś nie tem, że tobie
Tłum, jak bożyszczu, się kłania,
Lecz, że, jak bóstwo, nosisz sam w sobie
Moc twórczą uszczęśliwiania.
Po cóż do ciebie, z zawiści sykiem,
Chór głosów służalczych płynie?
Szafarzem swoim, biednych płatnikiem
Uczynił cię Bóg jedynie.

NAJPIĘKNIEJSZE.

Najbielsze śniegi, które na gór leżą szczytach;
Najczarowniejsze światła, płonące w błękitach;
Najwznioślejsze uczucia, które toną w niebie,
I najpiękniejsze pieśni śpiewane dla siebie.



Pamiętka po ostatnich książkach mazowieckich.

Adam Krechowiecki.

F I A T L U X!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIELŁY.

6).

Oto naprzód dwór budziński, tkliwe pieszczoty sędziwej babki Elżbiety, która uczyła ją mowy polskiej, opowiadała o rodzie swym Łokietku i bracie Kazimierzu Wielkim. Mówiła o tem z tak wielką miłością i tak gorącym utęsknieniem, że miłość ta przeniknęła serce dziewczęcia. I ona teraz, ta sędziwa królowa, powiedziała jej może to samo, co Nawój: Poświęć się dla tego narodu, uczyn go wielkim, potężnym!...

Zmienia się obraz Szereg uczt, festynów, igrzysk, którym z ciekawą radością przypatrywały się oczy siedmioletniej podówczas dziewczętki: to jej zaślubiny z księciem Wilhelmem w Hainburgu. Dzisiaj przypomina się jej to, jak dziecinna a uroczą zabawa. Ale po niej pierwszy, wielki smutek: Wilhelm pozostał w Budzie, a ją, Jadwigę, wzięto na dwór wiedeński, kędy dworskie wychowanie otrzymać miała. Zrazu było jej tu nieswojsko i tęskno bardzo. Niebawem wszakże siedmioletnie dziewczę przyłgnęło całym sercem do dobrego, jak go nazywała, stryjaszka, księcia rakuskiego, Albrechta. O ile rodzic Wilhelma, książę Leopold, nie był jej miły, a gwałtownymi porywami swymi przerażał, o tyle ów Albrecht, starszy brat Leopolda, dobrocią swą i krotofilnością pociągnął ku sobie polską królową. W pamięci jej została na zawsze wysoka jego, nieco przygarbiona postać, łagodne oblicze, zawsze rozpromienione uśmiechem, i dobroć, z jaką on załęczoną obyczajem obcym i tęskniącą dziewczętkę rozmaitemi krotofilami zabawiał. To w noc pogodną pięknie o gwiazdach snuł opowieści, to letnim rankiem zabierał ją do wspaniałego pałacu swego w Laxenburgu i tam pokazywał jej cudowne rośliny i kwiaty, rosące w ogrodach, lub przeróżne bestye ciekawe w nowo założonym zwierzyńcu, to znów śliczne rybki, igrające w słońcu w sadzawkach... Czasem też z Budy przybywał Wilhelm, a wówczas uciechom, zabawom, pod wodzą stryja Albrechta, nie było końca. Naprzód musiał jej młody książę opowiadać o matce i o starszej królowej, a potem o wszystkim, co się na zamku budzińskim działo. Sluchając tych opowieści, dziewczętkę czuła łyż pod powieką, i westchnienia wydobywały się z jej piersi.

— Och, gdybyż prędzej tam wrócić! — szeptała.

Ale smutek rychło pierzchał, i na usta wybiegał uśmiech, pełen zachwytu i radości, gdy piękne a strojne książętko popisywać się przed nią poczęło nabytą w Budzie zręcznością w robieniu bronią lub w jeździe konnej. Jakże pięknym był ten mały rycerzyk w złocistym pancerzu i takimże hełmie, przyozdobionym u szczytu szerokim pióropuszem z piór pawich! Lśniło to wszystko w słońcu, że aż oczy mrużyć trzeba było, lecz najbardziej promienne wydawało się

Jadwidze samo oblicze księżęcego pacholecia, zaróżowione uciechą, spoglądające śmiało jasnymi oczyma, które siały iskry...

I miałyby to wszystko przepaść bezpowrotnie? Miałyby ten sen lat dziecinnych nie ziścić się nigdy?

Jadwiga otworzyła oczy i, wrywając dłoń swą z uścisku Reginki, zawołała:

— Nie! nie! to nad siły... nie mogę!

Nawój odpowiedzieć coś chciał, gdy wtem pod samym oknem komnaty ozwały się śmiechy, krzyki głośne, a potem śpiewy i zmieszane dźwięki trąb, piszczałek, lutni. Jaskrawe światła zabłyły.

Pod zamek przyciągał liczny pochód litewski. Wszyscy nieśli wysokie pochodnie, snujące za sobą czarne smugi dymu i ciskające dokoła iskry. Wśród dymu tego i iskier poruszały się postacie dziwaczne, niemal przerażające, zbrojne i niezbrojne, najczęściej poprzybierane w skóry zwierzęce. Szli w płasach, podskokach, krzycząc, śpiewając, wyjąc. Dźwięki cytar, trąb i przeraźliwy piszczałek odgłos wznosiły piekielną wrzawę. Dokoła tej tłuszczy cisnął się ciekawy tłum mieszkańców, wśród których oko Reginki, stojącej po za Jadwigą u okna, przy Nawoju, dostrzegło znajome oblicza.

— O!—zawołała nagle z radością, klaszcząc dłonie:—jest tam i Siemko z Belza!

Nawój spojrział na nią surowo, a swawolne dziewczę zapłonilo się i zmilkło.

Tymczasem strażę zamkowe wstrzymały pochód. Słychać było głośną rozmowę; dolaływały uszu Jadwigi wyrazy:

— Nie! nie!... nie! nie!... królowa...

Teraz z pośród tłuszczy wystąpił jeden: barczysty, o ruchach zuchwałych, nie zbrojny. Jadwiga poznała go odrazu:

— To Skirgiełło—rzekła.

On zaś mówił coś ze strażą. A na odpowiedź, w której znów zabrzmiał z naciśnięciem wymówiony wyraz: królowa—podniósł twarz ku oknu. Moment patrzył sztywnie, a potem nagle kołpak z głowy zdjął. Gwałtownym ruchem ręki nakazał tłuszczy milczenie. I stała się cisza. Ale on nie ruszał się z miejsca i patrzył ciągle w górę...

Jadwiga cofnęła się od okna; Reginka zaś zaśmiała się wesoło i z tą poufałością, do której zdawna nawykła, szepnęła:

— Ten dziki kniaź rozmiłował się w Was, królowo!... Cóż za dziw?... każdy miłować Was musi...

Tym razem Jadwiga niemal z niechęcią spojrziała na śmiejące się dziewczę i, zwracając się do Nawoja, rzekła:

— Patrzenie, książę, co się dzieje! I wybyście chcieli, iżby królowa wasza, zabywszy zobowiązań powziętych, zabywszy co winna sobie, zaparła się wszystkiego, do czego nawykła, i rządziła tą dżiczą? Na samą tę myśl serce stygnie w piersi!

Nawój milczał. Czuł, że w tym momencie spór byłby daremny, a na niego ściągnąłby gniew i niełaskę królowej. Czytał to w jej obliczu, które było teraz pełne powagi, niemal surowe.

Odeszła od okna i zatrzymała się przy wielkim stole, na którym leżały jeszcze, porzucone snadź ze wzgardą, dary przywiezione przez litewskie poselstwo swadziebne. Nawój dopiero teraz je spostrzegł. Były tam drogocenne materye złotolite, były kubki i roztruchany szczerolote i srebrne, brylanty ogromne i rubiny, kolce, zausznice i obrączki niezmiernej wartości.

Jadwiga, która lubowała się w świeci-dłach, zaledwie jednak spojrziała na nie i znów ozwała się do Nawoja:

— Z tych darów, których odrzucić nie mogłam, a przyjąć i używać nie chcę, Bogu uczynię ofiarę, a może On, litościwszy od ludzi, uwolni mnie od tej ofiary, której wy ode mnie żądacie...

Usiadła na dawnym miejscu, a miała teraz w spojrzeniu i w całej twarzy wyraz takiego smutku, że twarde serce Nawoja zadrgało litością nad tą dziewczętką, zaledwie z lat dziecięcych wyrosłą, której los, dając w dziedzictwie wspaniałą Kazimierzową koronę, nałożył zarazem obowiązki ciężkie, kazał walczyć i dojrzewać przed czasem w tej walce, kazał z uczuć serdecznych czynić poświęcenie.

Głos przeto Nawoja drgał wzruszeniem, gdy w odpowiedzi na słowa królowej mówił:

— A któżby w tem całym królestwie, Miłościwa Pani nasza, dobra Wam nie pragnął? Wszyscy, i ja niegodny sługa Boży, połączym się w gorących modłach, iżby Najwyższy złał na Ciebie, królowo, zdroje łask najobfitszych, iżby Ci wskazał drogę, którą dla własnego szczęścia i pomyślności narodu iść masz... Niech Wszechmogący rozstrzyga!

— Niech rozstrzyga!...—powtórzyła królowa.—Samą teraz postanawiać nie chcę... Odprawiłam poselstwo litewskie na budziński zamek; królowa, najmilsza macierz moja, niech także objawi swą wolę... Wszak ona wie najlepiej...

Chciała powiedzieć: „żem jest Wilhelmu od dziecka zaślubioną!“—ale się wstrzymała. Nawój zaś rzekł:

— Dobrze uczyniliście, królowo... A ja nadzieję mam, że i Najjaśniejsza królowa Elżbieta, widząc wokół siebie zamieszanie okrutne i obyczajów rozpustę, widząc zwłaszcza, jak smutny los gotuje starszej siostrze Waszej, Maryi, Zygmunt Luksemburczyk—zapagnie dla Was innego szczęścia, a zarazem tej sławy, iżby za Twoją, królowo, przyczyną stało się w tem państwie i w obszer-nych litewskich dzierzawach prawdziwe światło!



REKONESANS

KAZIMIERZ PUŁASKI



JÓZEF BRANDT

ZŁA DROGA

Nawój począł znów mówić z zapalem, który mimowoli przenikał. Ale Jadwiga nie odpowiadała już nic; siedziała z pochyloną głową, a jeno drżenie warg i delikatnych, różowych nozdrzy świadczyło o wewnętrznym wzruszeniu.

— A że tak się stanie, — kończył Nawój — oto widziałem przed momentem, gdy owa dzika tłuszcza litewska przeciągała tędy. Obchodzą snadź dziś oni jakieś swoje pogańskie święto, a wiem, że od kiedy tu przybyli, spełniają swoje obowiązki bałwochwalcze w lesie Chwacimiechu...

— Wiecie o tem! — zawołała Jadwiga, głowę żywo podnosząc: — wiecie i chcielibyście?...

— Dozwólcie rzec, miłościwa pani — łagodnie przerwał ksiądz. — Paganie są i pozostaną długo takimi, jeśli Ty, królowo, nie wskażesz im krześcijańskiego krzyża i nie obmyjesz wodą świętego krztu... Paganie są, przeto teraz po swojemu się modlą... Ale oto, gdy tędy szli rozpasani, wyjący, pod wodzą tego, który oddawna krześcijaninem jest, lecz dzikim poganinem w duszy pozostał, księcia Skirgiełły, widziałem, jako na widok

Twey jasnej, królowo, postaci, cała ta tłuszcza umilkła, a dziki kniaź kołpak zdjął i pokłon korny złożył... Taka jest moc Boża w Tobie, królowo, a jako ten kniaź, tak pokłoni się Tobie Litwa cała!...

Oba ramiona podniósł Nawój do góry, jakby błogosławić miał i głosem przejmującym powtórzył:

— Taka jest moc i taka Wola Najwyższa!...

Jadwiga pochyliła głowę, a dłonie złożyła jak do modlitwy, i bardzo blada, drżącymi ustami szepnęła:

— Niech się spełni!...

Nagle, powstając żywo z miejsca, podbiegła ku księdzu, i kładąc dłoń swą na jego ręce, poczęła prosić jak dziecko, które się lęka:

— Ale wy mnie, ojcze, nie opuszczajcie... cokolwiek bądź nastąpi — nie opuszczajcie! Ja tu sama... sama... A czasem tak mi straszno... tak straszno! Przez Boga żywego, nie opuszczajcie mnie! Wierzę waszemu słowu, choćby surowe było, pobożności waszej ufam, toż módlcie się za mnie!...

W głęboko zapadłych oczach Nawoja zalśniły łzy. Zrazu mówić nie mógł, a potem niemal szeptem odparł:

— Rzekłem już: przy Tobie, królowo, ostanę do ostatniego tchu! Tak mi dopomóż Bóg!...

Nastała cisza. I znowu pod oknami komnaty ozwały się dźwięki lutni i śpiew. Ale tym razem dźwięki te były ciche, jakby z umysłu tłumione, które rzewną melodyą pieściły serce i przenikały.

Reginka dągnęła, spojrziała na Jadwigę, i zapłoniona, uśmiechnięta podbiegła znów do okna. Stała przy niem, pochyliła się i wytężonym wzrokiem usiłowała dostrzedz w ciemnościach postać śpiewaka.

Jadwiga zaś rzekła z cicha do Nawoja, objaśniając:

— To tak codziennie wieczorem przychodzi tu i śpiewa... Slicznie śpiewa... Powiedziano nam, że to jest syn mieszcanka z Bełza, Siemko, który pono rozmiłował się w Regince i dla niej tak śpiewa... Widziałyśmy go... ładne, jasnowłose pacholę... Mój Hadzlik chce go do swej kompanii cytarystów wziąć...
DCN

Tyara i Korona.

(Powieść historyczna Teodora Jeske-Chońskiego).

Powieść historyczna, zwłaszcza w stylu szerokim — rzadkie to dziś u nas zjawisko piśmiennicze. Rzadkie nie tylko u nas. W całej Europie ten rodzaj literatury nadobnej liczy obecnie nader niewielu pracowników.

Czy brak po temu talentów? Teraźniejsza, obfita i, bądź co bądź, w dość znacznej mierze wartościowa produkcja powieści wogóle nie pozwala na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Czy beletrystów zniechęca trudność kompozycji, potrzeba głębszych studiów specjalnych? Tak może jest, lecz to przyczyna podrzędna. Sądzę, że za najważniejszy powód dzisiejszego osłabienia twórczości na polu powieściopisarstwa historycznego poczytać należy coraz większą obojętność względem przeszłości, obojętność, której wyrazem jest również szczupłe wciąż poczet źródłowych badaczy historii.

Światłość cywilizacji nowożytnej, ogłuszająca wrzawa przemysłu, wir spekulacji, gorączka walki o życie, ustawiczne karmienie wyobraźni nowinami dzienników, ogromna, bezpośrednia doniosłość aktualnych zagadnień społecznych, wszystko to, w połączeniu z neurasteniczną wrażliwością na przykre strony doli, pochłania całą niemal uwagę dzisiejszego człowieka kulturalnego, przykuwa go do chwili bieżącej i każe niejako widzieć w niej alfę i omegę postępu, nagle, samorodnie wykwitła. Jakże były tego postępu przeobrażenia i koleje, kosztem jakich walk, trudów, ofiar, katastrof ludzkość zdobyła swą wyżynę obecną, po cóż pytać i wiedzieć? Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr, dzisiaj zaś rejestr, bilans, wykaz buchalteryjny — to kronika, jedynie ciekawa dla wielu. Wszędzie życie nowoczesne amerykanizuje się mniej lub więcej widocznie, a w Ameryce historia, nauka, na której drzewie nie kwitną „trusty“, nie dojrzewają grube procenta i dywidendy, poważaniem ogółu nie cieszy się wcale. Jest, co najwyżej — tolerowana.

Z drugiej strony, przyznać należy, iż histo-

ryografia najnowsza nie skąpiła pomysłom i pracy, nie tylko aby pokolenie obecne uczynić obojętnym na głos przeszłości, lecz aby je od niej radykalnie odstręczyć. Wandalizm dziejopisów zohydził epopeję wieków ubiegłych, przedstawiając ją głównie jako latopis bezmiernej rzeźni ludzkiej, jako panoptikum wszelkich szkarad moralnych — zbrodni, przemocy, szalbierstwa i obłąd. By zaś dopełnić miary wstrętów, nie oszczędzili uczeni i tego, co stanowi najprzedniejszą krasę i powab przeszłości: jej typów bohaterskich. Ręką brutalną, bezwzględną, nierzadko świętokradzką, usiłował hyperkrytycyzm sprowadzić do rozmiarów mikrobich, do karykatury i farsy to wszystko, co na mgławej kanwie stuleci imponowało majestatem swojej wielkości, co lśniło i czarowało potęgą ducha, poezją serca lub nimbem poświęcenia.

Nie dziw, iż tak pojęta przeszłość zmierziała historię niejednemu z tych nawet jej przedstawicieli, którzy za dni naszych na piedestale grubych swych ksiąg, o niej traktujących, wzniesli sobie pomniki wszechświatowej swej sławy. „W młodości — pisał np. Renan w swoich „Wspomnieniach“ — nauczywszy się niemieckiego i hebrajskiego, pociągnięty był przez okoliczności do nauk historycznych, do tych biednych, opartych na przypuszczeniach, robionych i przerabianych wciąż nauk, które za jakie lat sto świat będzie lekceważył. Kiełkuje już czas, w którym ród ludzki nie będzie się wiele zajmował swoją przeszłością. Obawiam się nawet, żeby te głęboko uczonne dzieła, za pomocą których nasza Akademia napisów usiłuje nadać pewną ścisłość historii, nie zbutwiały przedtem, nim je kto przeczytać zapragnie.“

Oslawiony tepiciel wiary chrześcijańskiej zgrzeszył tutaj, jak i w wielu innych razach, płytkością swego sarkazmu. Paradoks jego atoli jest wyrazem nastroju, panującego w wielu kołach inteligencji nowoczesnej.

Wielka to jest krzywda dla umysłu ludzkie-

go ten dyskredyt historii, to zobojętnienie względem przeszłości!

Człowiek, który nie kojarzy się myślą z pochodem zjawisk dziejowych, nie jest w stanie zorientować się trzeźwo w swej sytuacji osobistej, ani ocenić należycie żadnego z bardziej zawilich faktów współczesnych. Jest on niejako rozbitkiem na niezmierzonej roztoczy wieków, ogniwem oderwanem od łańcucha pokoleń, skazańcem na pacholęcą niemal krótkowzroczność ducha, na ciastnotę wyobrażeń i uczuć. Przyczyną np. wielu wzbryków młodzieńczego radykalizmu, mrzonek rewolucyjnych i t. p. jest w znacznej mierze niezajomość lub lekceważenie nauk przeszłości. Historia nie jest wprawdzie ową Cycerońską „mistrzynią życia“, ale należy niewątpliwie do liczby pochodni, rozświecających, acz nieraz bardzo migotnie i skąpo, pomrokę jego szlaków. Nie mówię o nieocenionej wartości dziejów, jako nigdy niewyczerpanej kopalni tematów artystycznych, rzecz to bowiem zbyt znana i zbyt oczywista.

Zachęcić szerokiego ogółu do poważniejszych studiów dziejoznawczych nie zdołają dzisiaj najszanowniejsze pod względem erudycji i krytycyzmu dzieła specjalne. Nawet ci ludzie inteligentni naszego czasu, którzy nie wzięli rozbratu z chwalebny zwyczajem nabywania dzieł takich, po przestają najczęściej na tem skromnym mecenasowstwie wiedzy, i, umieściwszy uczone księgi na półkach swych bibliotek, odkładają ich przeczytanie do kalend greckich. Im, wygodnickim, dzieciom epoki zniewieściałej, potrzeba karmi strawniejszej, książek niewielkich, formy wabnej i lekkiej.

Potrzebie takiej czyni zadość przedewszystkiem powieściopisarstwo historyczne.

Małe grono pisarzy, podtrzymujących u nas tradycję tego odłamu twórczości, który liczy tylu świetnych przedstawicieli w piśmiennictwie polskim, powiększył w ostatnim lat dziesiątku Teodor Jeske-Choński. Była to niespodzianka

dla wszystkich, śledzących uważnie rozwój jego zdolności, niespodzianka przyjemna i, jak się okazało, owocna.

Znaliśmy przedtem Choińskiego jako utalentowanego twórcę kilku większych i mniejszych powieści obyczajowo-społecznych, jako dzielnego polemistę obozu zachowawczego, zwłaszcza jako autora monografii o pozytywizmie warszawskim, która pozostanie przyczynkiem do dziejów polskiej kultury umysłowej; czytaliśmy z zajęciem jego studia literackie i liczne krytyki, niekiedy nazbyt surowe albo pośpieszne, ale zawsze ożywione tendencją dodatnią, zawsze tryskające życiem i werwą. Autor „Stłumionych iskier“ był także znany ogółowi jako pisarz sceniczny.

Ostatnie dziesięciolecie odsłoniło w Choińskim artystę i myśliciela, umiającego ogarniać widnokresy bardzo rozległe, wnosić tętno życia i ładu do labiryntu suchych faktów dziejowych, rozjaśniać je światłem intuicji, plastyką postaci, wymową sytuacji, bogactwem kolorytu. Talent jego typowo męski, brawura temperamentu, pióro jędrne i wyćwiczone w długoletniej służbie pisarskiej znalazły wdzięczne zastosowanie na polu artystycznego odtwarzania burzliwej i barwnej przeszłości. Trzy większe powieści historyczne: „Gasnące słońce“, „Ostatni Rzymianie“, „Tyara i Korona“, zapewniły Choińskiemu imię wybitne w tym dziale literatury pięknej, który z takim powodzeniem uprawiają dziś u nas Sienkiewicz i Krechowicki.

O dwu pierwszych z dzieł pomienionych była już mowa na łamach „Tygodnika“. Mnie przypadło w udziale wyrazić zdanie o trzecim.

W „Tyarze i koronie“ daje autor obraz wiekopomnej, skutkami brzemiennnej walki Grzegorza VII z Henrykiem IV.

Czy sprawę, która nie przestała być przedmiotem waśni, a więc drażliwą, można uważać za temat pożądany dla takiego utworu, jak powieść historyczna, dzieło sztuki, przeznaczone dla szerokiego kręgu czytelników? Mniemam, iż tematy tego rodzaju lepiej jest zawsze pozostawiać traktatom specjalnym, naukowym, mogącym się zbroić w odpowiedni arsenał roztrząsań krytycznych. Powieściopisarz, skazany na gołosłowność, zajęty troską o estetyczną strukturę swego dzieła, podejrzewany bądź o tendencję, bądź o zbyt uleganie polotom wyobraźni, łatwo bardzo, mimo najlepszych swych chęci, mimo całego artystycznego obiektywizmu, może dać powód do nieporozumień. Autor „Tyary i Korony“ doznał tego na sobie. Wszak posunięto się aż do posądzenia go o chęć uwłaczania osobie Grzegorza VII...

Żeby mieć przeświadczenie o zupełnej bezzasadności tego posądzenia, nie potrzebowalibyśmy przeczytać „Tyary i Korony“, ani znaleźć oświadczenia w przedmowie do tego dzieła, iż autor jest „katolikiem nie tylko z chrztu, lecz także z przekonania i sympatii“. Wystarczyłaby mi wiadomość, że twórcą tego dzieła jest—Teodor Jeske-Choiński. Miałbym już wówczas rękomię, że zarówno dobry smak literacki, jak i zawodowa wprawa w ocenianiu typów znakomych nie pozwoliły pisarzowi tej miary—w dodatku filarowi niejednego organu zachowawczo-katolickiego—obniżyć wielkości i przyćmiewać aureoli świętego Papieża, który nawet z czysto artystycznego stanowiska jest postacią nieporównaną.

Zoil, niepomny, że *non judicant, qui maligne legunt*, mógłby położyć nacisk na pewne lekkie rozdźwięki w kilku ustępach „Tyary i Korony“, dotyczących genialnego sternika łodzi Piotrowej; mógłby tu i owdzie zaznaczyć trochę nieścisłości, zdarzających się niemal zawsze w pismach ludzi świeckich, gdy mówią o rzeczach kościelnych; natomiast czytelnik nieuprzedzony a inteligentny zwróci przede wszystkim uwagę na to, co jest istotne, na właściwą intencję autora i na rysy zasadnicze w jego charakterystyce Grzegorza VII.

Charakterystykę tę dał Choiński tak wspaniałą, tak wytworną i tak prawdziwą, że nie waham się uznać jej za jedną z najcelniejszych, jakie się w piśmiennictwach gdziekolwiek znajdują. Nie mogąc jej przepisać tutaj w całości, co chętnie bym uczynił, gdybym miał miejsce po temu, porzestaję na przytoczeniu zdań następujących: „Jak orzeł nad skałami i rozpadlinami, tak unosił się Grzegorz nad nędzą i brudem tej ziemi, ale właśnie dlatego wydaje się jego postępowanie czasami zbyt surowem, bezwzględem. Wydaje się, w rzeczywistości bowiem tak nie było. Reformator tej miary nie może być zbyt pobłażliwym. Grzeszyłby przeciwko swemu posłannictwu, gdyby się okazał słabym.“ „Cnoty pierwszych chrześcijan, geniusz administracyjny i niezłomna wola dawnego Rzymu stopiły się w jego wątem ciele w duszę tak hartowaną, na jaką się ród człowieczy zdobywa tylko co kilka wieków.“

Nieporozumienie co do postaci Grzegorza



Teodor Jeske-Choiński.

wynikło stąd zapewne, że autor ogromnie wyidealizował figurę jego wroga, Henryka. Choiński nakreślił wizerunek tego króla z dziwną predylekcyą, występując niejako w roli jego rzecznika przed areopagiem opinii, prawie już przyjętej ogólnie, a stanowczo przeważającej w bezstronnem dziejopisarstwie nowoczesnem. Nie chcę twierdzić, że to uczynił dla oryginalności; nie wątpię też zgoła, iż pragnął być arcy bezstronnym; zdaje mi się jednak, że nie będę daleki od prawdy, jeśli to rzecznictwo przypiszę dwom czynnikom: wpływowi tendencyjnych dzieł protestanckich, do dziś przejętych duchem gibelinizmu, oraz słabości autora dla... rycerskiej tężyzny. Dyalektyka partyjna i upodobania osobiste złudzić są w stanie umysł najwytrawniejszy.

Zaiste, nie jest Henryk IV postacią wdzięczną dla literata-artysty, poszukującego rzetelnej estetyki czynów, lub tylko oryginalnych rysów charakteru. Niezwykłym w życiu Henryka jest jedynie tragizm jego losów, tudzież ogrom jego występków i zbrodni, nie tylko prywatnych, lecz i politycznych. Rozpusta skandaliczna, wyuzdana, głośna w całej niemal ówczesnej Europie, kupczenie dostojenstwami kościelnymi, ograbianie świątyń, łamanie przysięg, skrytobójstwa, zbrojne targi z rodzonymi synami, żywiącymi dla ojca nienawiść i pogardę, potworne bezeceństwa, o które

publicznie, na dwu synodach, oskarżała go druga jego żona Adelajda—oto w skróceniu lista pasywów moralnych Henryka, chyba dosyć pokażna. Co zaś do jego zdolności, to takich mężów stanu, takich sterników skolataney nawy państwowej, jak wróg Grzegorza VII, zna historia całe seciny. Przystojna twarz, tak pospolite w epoce grubych nerwów junactwo wojenne, pewna obrotność polityczna, przeważnie, jeśli nie wyłącznie, samozachowawcza, wreszcie łatwa, bo królewska, szczoć dla popleczników—te jedyne zalety Henryka—zbyt małe to jeszcze tytuły do względów wyjątkowych, do sympatii artysty.

Oprócz tej jednostronności w wizerunku frankońskiego władcy, krytyk katolicki obowiązany jest zarzucić autorowi kilka jaskrawych scen erotycznych. Sprawiedliwość atoli nakazuje mi dodać, że zarówno w rozbieranem tu dziele, jak i w całej swej działalności literackiej Choiński narzeczył pod tym względem stosunkowo niewiele. Mówię: stosunkowo, są bowiem beletryści, powszechnie dziś czytani i prawie jednogłośnie wielbieni nad zasługę i miarę, którzy właśnie kulturze zmysłowego erotyzmu w swych pismach zawdzięczają część znaczną swej wziętości i sławy. Profesjonalnym dolewaczem oliwy do ognia i bawidamkiem literackim nie jest bynajmniej Choiński.

Nadmieniwszy jeszcze, że zauważyłem w „Tyarze i Koronie“ pewne niedokładności faktyczne (np. mianowanie Tertulliana świętym, gdy był on w końcu heretykiem, montanistą), że autorowi nasunęły się tu i owdzie porównania wcale niestosowne („młodzieniec—król—od którego bił taki blask, jak z monstrancy“), że wreszcie jest może nieco za wiele rubaszności nawet w dialogach rycerskich,—wyczerpię kołczan zarzutów, które mi powinnoby krytyka uczynić kazała. Wyłowieniem innych usterek niech się zajmą pedanci, do których cechu nie mam zaszczytu należeć.

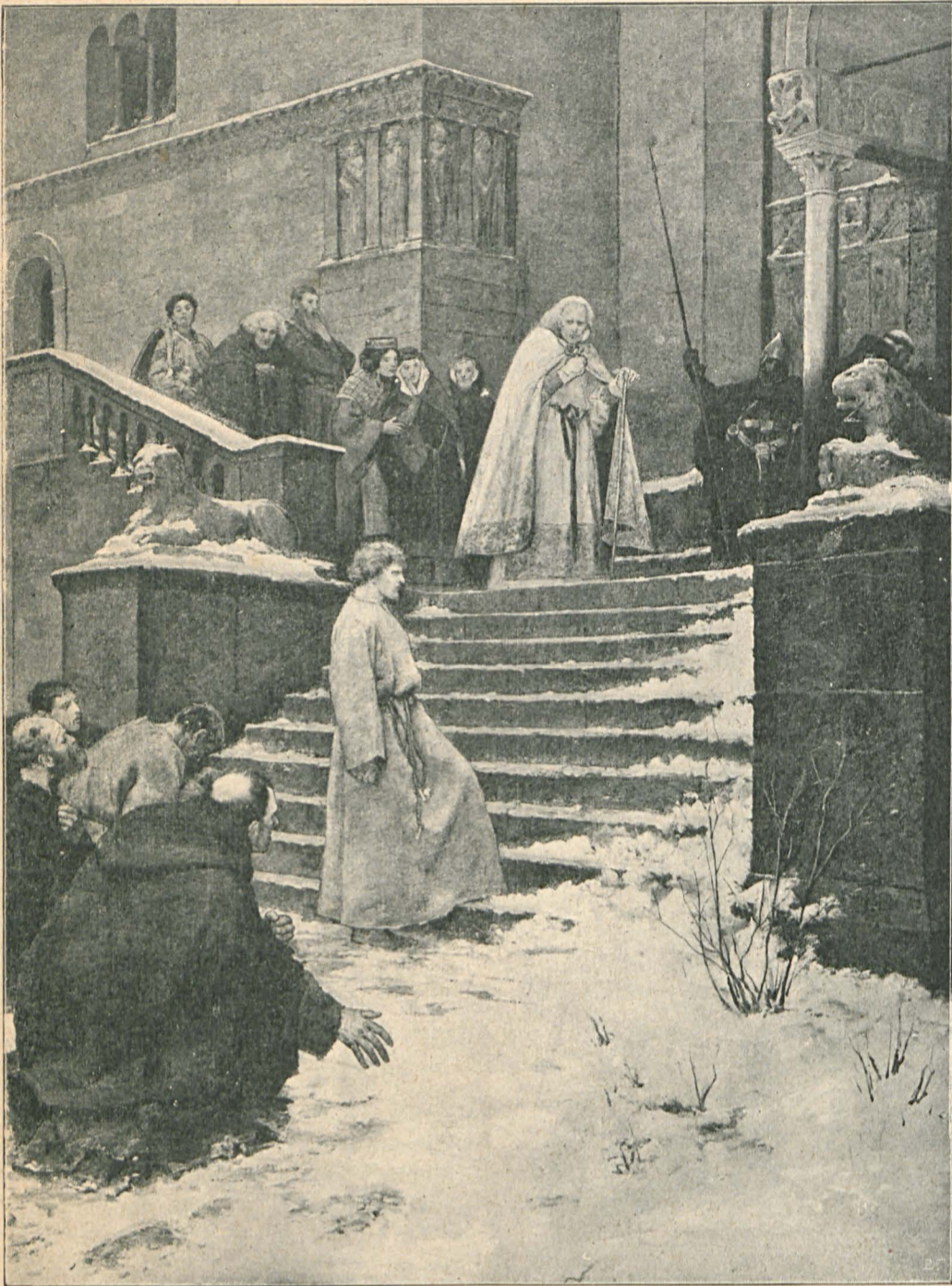
Architektonika „Tyary i Korony“ jest przejrzysta i konsekwentna, rysunek osobistości działających wyraźny, a gdzie stosowna, zamaszysty. Opowiadanie posuwa się żwawo, *magnis itineribus*, odpowiednio do szybkiego tempa wypadków dziejowych.

Zarzucają Choińskiemu, że się nie lubuje w tak zwanej koronkowej robocie. Co do mnie, widzę w tem zaletę. Mężczyźni, zdaniem mojem, winni pisać po męsku, zabawki koronkowe zostawmy dłoniom niewieściom. Owa sławetna „koronkowość“, owo sadzenie się na misterne kombinacje światłocieni, półcieni, odcieni i cieni, owo wymuszone nizanie pajęczych przenośni, nikłych obrazków, naciąganych porównań i nieomówionych frazesów przechodzi już dzisiaj w okres takiego wynaturzenia, że istotnie smucić i do przeciwdziałania skłaniać powinna. Męskość nie wyklucza bynajmniej subtelności, ale nie czyni z niej zadania głównego ani zalety naczelnej.

Wątek fabuły, urozmaiconej i zajmującej, snuje autor przez cztery tomy ręką wprawna, z umysłu jednak trzyma go na uboczu. Widoczne jest, że Numa kocha się z przeszkodami w Pompiliuszu i w końcu za niego wychodzi jedynie przez łaskawość autora dla... cnych czytelniczek. Tematem właściwym „Tyary i Korony“ jest, zgodnie z tytułem, walka światowładnych idei, charakterystyka czasu i ludzi.

Dzieło obfituje w obrazy, skreślone znakomicie. Do takich zaliczam np. opis szturm na zamek Grimlingen i scenę, w której *Treuga Dei* („Pokój Bęzy“) przerywa głosem dzwonu kościelnego bójkę rycerzy; nadewszystko zaś cenię mistrzowskie karty, poświęcone „Kanossie“, temu dramatowi dziejowemu,—słowa autora—na który składały się całe wieki, i w którym „nie Henryk walczył z Grzegorzem, lecz korona z tyarą, wojownik z kapłanem, ciało z duchem.“

Niepospolicie, umysłem filozofa i duszą poety, odczuł autor główne tętna i cechy wieków



KANOSSA

O. FRIEDRICH

średnich. Oto, jak opisuje nabożeństwo wieczorne w klasztorze hirszauskim:

„W ciszy wieczornej rozbrzmiewała świątynia hirszauska modłami. Trzystu mężów i młodzieńców dziękowało Bogu za dzień dokonany.

„Po lewej stronie wielkiego ołtarza, w krześle, wykutem z kamienia, spoczywał opat Wilhelm z głową, opuszczoną na piersi. Za nim stał mnich kapłan, w białej stule, obok kapelan, trzymający pastorał.

„Rzędem, w stalach, siedzieli dostojnicy klasztoru: na czele przeor, potem proboszcz, podkomorzy, bibliotekarz i wszyscy uczeni w piśmie prezbiterowie i diakoni; chór zajęli alumni, nawę braciszki, zwani brodatymi, bo nie golili włosów i zarostu na twarzy.

„Żółtawy blask świec woskowych padał na to wojsko Chrystusowe, ubrane w barwy wydziedziczonych średniowiecza, w czarne i szare suknie poddanych. W epoce, która lśniła jaskrawymi kolorami, złotymi i srebrnymi zbrojami błyszcząca—oni jedni, słudzy ołtarza, nie wstydzi się uciętych włosów i sukni nędzarzy.

„I oni jedni poświęcali życie dziełom pokoju w czasach, dyszących wojną. I oni jedni głosili równość wszystkich ludzi, miłosierni dla najuboższych.

„Wspaniałą falą płynęła pieśń nabożna, wylewając się przez drzwi otwarte nazewnątrz, na łąki i pola aż do stóp gór, a gdzie potrafiła

o pierś wierzącą, tam budziła uczucia łagodniejsze.

„Artystycznie ułożonym chórem śpiewali kapłani, diakoni i alumni psalmy wieczorne, opat Wilhelm bowiem, miłośnik i znawca muzyki, dbał wiele o piękność śpiewów zakonnych.

„Równocześnie, o tej samej godzinie, na kilkuset punktach Rzeszy niemieckiej rozbrzmiewały takie same domy Boże, taką samą pieśnią. Nie wszędzie śpiewano tak dźwięcznie, jak w klasztorze hirszauskim, ale ze wszystkich tych przystani modlitwy tryskały na kraj, zmieniony w warownię, szumiący nieustannym szczykiem oręża, ciepłe promienie pokoju, które działały dopóty na gwałtowne dusze świeżych półbarbarzyńskich ludów, dopóki nie stopiły ich dzikości i nie złagodziły obyczajów.“

Umiejętność malowania uczuć, zwłaszcza potężnie szarpiających pierś ludzką, należy do celniejszych zalet talentu autora.

Z pomiędzy akcesoryów opowiadania, winniem szczególnie zaznaczyć barwne opisy natury. Tak np.: „Właśnie zsuwało się słońce za góry, duże, czerwone, śląc ziemi na pożegnanie potok płomieni. Zapłonęło niebo, zarumieniły się śniegi, krwawa luna oblała zamek Kanoski. Wiatr, wypadłszy z lasów, wzbął się ponad wzgórza i zmieształ sine chmury, leżące ocieźale na wschodnim skraju widnokregu. Chmury ruszyły z miejsca, układając się w postaci fantastyczne. Zdawało

się, że jakieś wielkie tłumy olbrzymich ludzi, zwierząt, potworów ciągną ku północy, poprzędzone morzem ognistym.“ Albo ten: „Bór grał z cicha, jak harfa, dotykana lekką ręką. Miliony niewidzialnych muszek dzwoniły skrzydełkami o struny, ukryte dla oka ludzkiego. Roje barwnych motyli migotały w blaskach dnia pogodnego. Czarne żałobniki unosiły się z powagą dygnitarzów nad zbrojną drużyną, przysiadając kiedy niekiedy pod koźmi, na piasku drogi. Błękitne niebo wydawało się przez ciemne igliwie i liście drzew jeszcze błękitniejszym.“

Cacher l'effort sous la grâce: tout l'art est là—powiedział oryginalnie pewien mało światu znany myśliciel. Teorii sztuki, zawartej w tym aforyzmie, autor „Tyary i Korony“ nie nazwałby zapewne trafną i wystarczającą, jako estetyk; w praktyce atoli, jak każdy prawdziwy artysta, stosuje się do niej gorliwie. Czytelnik jego dzieła, nawet wtajemniczony w arkana sztuki pisarskiego, nie odczuwa zgoła tych tak licznych, nieraz tak wielkich trudności, jakie w procesie tworzenia piętrzyły się zarówno przed umysłem i wyobraźnią autora, jak i pod jego piórem. „Tyara i Korona,“ kipiąca akcją, napisana piękną polszczyzną, stylem zawsze potoczystym, a nierzadko świetnym, czyta się nader łatwo, mimo treści poważnej i wielości czynników, tworzących jej przedzę.

Pulsuje w niej bujne, półdzikie jeszcze życie tej przełomowej doby średniowiecza, kiedy Kościół bohaterstwem oraz mądrością swoich pasterzy wywalczył sobie wolność i stanowisko naczelnego przewodnika narodów, a Europa, mordem i rubieżą dysząca, miała niebawem korzyć się rzewnie przy Grobie Tego, którego zakon wołał do niej od wieków: „Błogosławieni pokój czyniący!“

Ks. WŁ. M. DEBICKI



Jubileusz w Rzymie 1900 roku.

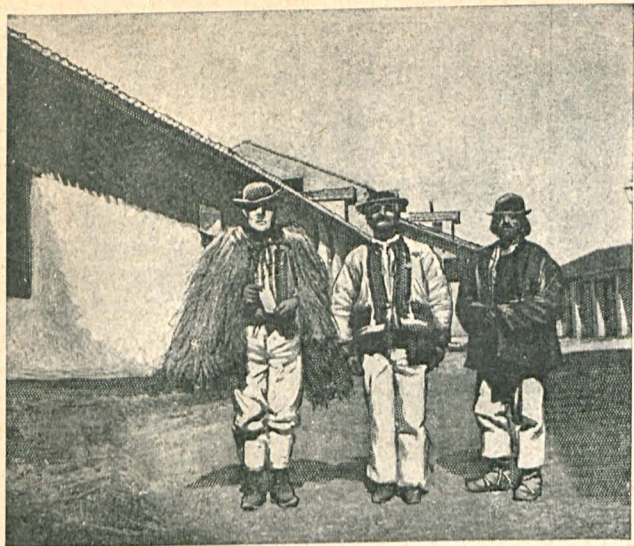


Mieszkańcy Rzymu i pielgrzymi, którzy w r. b. przekroczyli bramy Wiecznego Miasta, są świadkami rzadkiej uroczystości, jaką obchodzi Kościół, gdyż ostatni jubileusz był odprawiony w r. 1825, za panowania Leona XII, a nawet, w bazylice Św. Pawła za murami, t. zw. Święte Wrota, *Porta Santa*, nie były otwierane od r. 1775.

Przyczyną tego były różne okoliczności. W r. 1800 Pius był w niewoli francuskiej, w r. 1823 spaliła się (w lipcu) bazylika św. Pawła; w r. 1850 panowała rewolucja w państwie papieskim; w r. 1875, zabór Rzymu przez wojska włoskie, które wkroczyły 20 września 1870 r. przez wylom w bramie Pia, był jeszcze zbyt świeży, Watykan w żałobie, tak, że o odprawieniu jubileuszu nie mogło być mowy.

Od czasu jednak, kiedy wstąpił na tron Leon XIII, w ciągu lat dwudziestu trzech jego panowania, Kurya Apostolska, nieznacznie, krok za krokiem, przywraca dawne ceremonie kościelne, znosi powoli żałobę, ciążącą nad „więzieniem“ Głowy Kościoła. Zaczęło się nasamprzód od ceremonii i konsystorzów w kaplicy Sykstyńskiej i w dwóch Salach konsystoryalnych, od przyjęć dla pobożnych w sali Ducale i Regia, od obchodów rocznicy koronacji; w r. 1881 papież kanonizuje błogosławionego Benedykta Labre; w r. 1897 podnosi dwóch błogosławionych do czci ołtarza; wreszcie w r. b., d. 24 maja, odprawia w bardzo uroczysty sposób kanonizację Jana de la Salle, założyciela szkółek chrześcijańskich, i Rity de Cascia, zakonnicy.

Ceremonie rozszerzają się. Papież schodzi już nietylko do świątyni Św. Piotra, choć wstęp do niej jest jeszcze zawsze za biletami, ale nawet do Portyku, gdzie w d. 24 grudnia roku zeszłego



Słowacy podkarpaccy w Rzymie, w maju 1900 r.
(W schronisku pielgrzymów u św. Marty, koło Watykanu)
Fot. dla Tygodnika ilustrowanego.

uroczyście odwalili Porta Santa. Temu trzy lata, z powodu kononizacji, po raz pierwszy oświecono wieczorem front Bazyliki pierwszego Apostoła; w r. b. iluminowano także słynną kolumnadę Berniniego, obejmującą, jakby dwoma ramionami, miejsce, gdzie dawniej był cyrk Nerona z obeliskiem, sterczącym na środku; tylko kopuła Michała Anioła pozostała jeszcze w ciemności. Ale i do tego chyba niezadługo przyjdzie, a rychło czekać, może już następca Leona XIII ukaże się, po swoim wyborze, w zewnętrznym ganku watykańskiej Bazyliki i udzieli błogosławieństwa *urbi et orbi*. Tymczasem, na ulicach Rzymu, zaczynają się już ukazywać procesje kościelne, zawieszane od r. 1870.

Na konsystorzu w pałacu Apostolskim, w d. 14 grudnia 1899 r., Leon XIII wypowiada alocucję, zapowiadającą urzędownie obchód Miłościwego Lata 1900 i wyznacza zarazem do otwarcia Świętych Wrót, w trzech większych Bazylikach: Laterańskiej, N. M. Panny Większej i Św. Pawła za murami, trzech kardynałów: S. Vanutello, Satollego i Oreglię di Santo Stefano, dziekana kolegium kardynalskiego, w następstwie czego mons. Józef dell' Aquila Visconti, t. zw. *Abbreviatore di Curia*, odczytuje uroczyście bullę jubileuszową w przedsiönku Św. Piotra.

Jednocześnie też król włoski Humbert w mowie tronowej, odczytanej na otwarciu Sesi parlamentu, na Monte Citorio, oświadcza publicznie, iż z okoliczności Roku Jubileuszowego, rząd włoski szanować będzie zobowiązania, zaciągnięte wobec świata katolickiego i napływających pielgrzymów opieką swoją otoczy.

Sposób, w jaki ubiegła już połowa Roku Jubileuszowego, świadczy wymownie o szczerej, dobrej chęci rządu włoskiego, pogodzenia nowoczes-

nych wymagań jedności włoskiej z potrzebami i swobodą kościoła. Kilkakroćstotysięcy pielgrzymów z najrozmaitszych stron świata napłynęło do Rzymu, bez wszelkiej trudności, bez jakichkolwiek przeszkód, choć owe masy nie zawsze były dobrze usposobione wobec dzisiejszego stanu rzeczy. Rzym stał się naprawdę *Cosmopolis*, gdzie można było spotkać najrozmaitsze ubrania, słyszeć różne języki, widzieć typy, jakichby trudno było odnaleźć w innym czasie, jak np. naszych Słowaków podkarpaccy, wieśniaków z Galicji, pielgrzymów z Tunisu, z Konstantynopola, z głębokiej Hiszpanii i t. d.

Pierwszy jubileusz był odprawiony przez Bonifacego VIII w r. 1300, a więc temu 600 lat; tej właśnie chwili

sięga fresk Giotta w Lateranie, wyobrażający papieża Gaëtaniego, kiedy z loggii zewnętrznej Lateranu ogłasza pierwszy Rok odpustowy. Fresk ten jest częścią większego malowidła ściennego, przeniesionego z pierwotnej świątyni, przebudowanej przez Sykstusa V, w r. 1586.

W owym czasie papież rezydował w Laterańskim pałacu, obok Bazyliki Św. Jana, i dopiero po powrocie z Avignonu, przenieśli się do Watykanu, gdzie się odbyło pierwsze *conclave* w r. 1378.

Pierwszy jubileusz z r. 1300 tem także jest pamiętny, że na nim był w Rzymie Dante Alighieri, wówczas młodzieniec trzydziestopięcioletni, i że tutaj powstała w jego umyśle idea największego poematu średnich wieków i jednego z największych, jakie kiedykolwiek powstały — *Boskiej komedji*. Przedtem krażyły głuche wieści, że w wiecznym mieście, co sto lat, rocznicę Narodzin Chrystusa Pana obchodzono. Bonifacy VIII nakazał więc poszukiwania w archiwach Lateranu, aby zbadać, na jakiej zasadzie pogłoska się utrzymywała, ale w archiwach nie się nie znalazło. Owocni kronikarze, jak J. Villani, Ventura, mówią pomiędzy innymi, iż w Rzymie znalazł się starzec 103-letni, który tyle tylko pamiętał, że jego ojciec bawił w r. 1200, dla odpustu, w Rzymie i polecał mu, aby, jeśli żyw będzie, to samo zrobił w r. 1300. Faktem jest, iż Bonifacy VIII nie śpieszył się z ogłoszeniem bulli, i dopiero napływ pątników i *vox populi* skłoniły go do wydania 22 lutego 1300 r. odezwy jubileuszowej, w portyku Św. Piotra, skutkiem czego, jak mówią historycy owej epoki: „wiele bogactw przybyło kościołowi, i Rzymianie wszyscy się wzbogacili“ (Villani).

Pielgrzymek w r. b. było mnóstwo, począwszy od miesiąca stycznia, kiedy z Liguryi (prowincji Krzysztofa Kolumba) zjawiała się pierwsza, włoska. Za nią poszły: Piemont, Lombardia, sto-



Wieśniaczki galicyjskie w Rzymie, w maju 1900 r.
(Przed Bazyliką św. Pawła za murami)
Fot. dla Tygodnika ilustrowanego.

warzyszenia katolickie Rzymu, francuskie z Nimes i Marsylii, z Tyrolu i t. d.; każdą z nich, a często kilka pielgrzymek zbiorowo, przyjmował Leon XIII, dla udzielenia błogosławieństwa, czasem dwie, trzy tygodniowo, pomimo że w marcu r. b. Papież wkroczył już w 91 rok życia i 23-ci rok panowania. Zresztą, niepodobną jest rzeczą, abym tu wyliczał pielgrzymki, które się ukazały w Rzymie, i wykaz tego rodzaju nie miałby też celu.

W d. 6 marca zjawia się od Fiume i Ankonny, po burzliwej przeprawie przez Adryatyk, pielgrzymka węgierska, złożona zarówno z katolików, jak i pątników grecko-katolickiego wyznania, jak wszystkie pielgrzymki, pod przewodnictwem własnych biskupów. Po niej przybywają między innymi Morawianie, pod wodzą biskupa z Berna, ks. Bauera.

Podczas wielkiego Postu i Świąt Wielkanocy napływ pobożnych staje się coraz większym; w kwietniu przybyło do Rzymu, według dat statystycznych stacyi kolei, na podstawie odebranych biletów kolejowych, 183,000 podróżnych z za granicy. To też wielkanocne *Alleluja!* schodzi się z nadzwyczajnym natłokiem w hotelach i pensjach prywatnych. W Rzymie robi się ciasno.

W maju ukazują się dwie polskie pielgrzymki: najpierw galicyjska, bardzo liczna, bo złożona z przeszło 2,000 osób, z księciem krakowskim Janem Puzyną i ks. prałatem Smoczyńskim, a po niej poznańska, w 500 osób, z ks. biskupem Likowskim z Poznania i ks. Surzyńskim z Kościana.

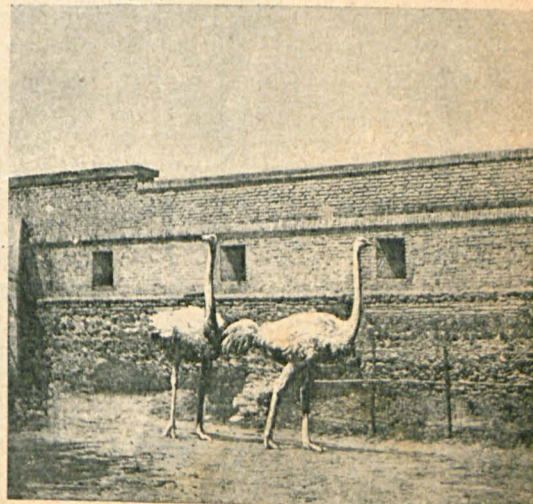
Pątnicy nasi, przeważnie z ludu i małomieszczan, znaleźli przyzwyczajenie, a tanie pomieszczenie w zakładzie Ś-jej Marty, obok Watykanu; zamożniejsi zajęli do hotelów, lub mieszkań prywat-



Pelikan.



Afrykańskie owce.
Fragmenty ze zwierzynca Watykańskiego.



Strusie.

nych, które im zawczasu przygotowano. Obie pielgrzymki były na posłuchaniu w Bazylice Św. Piotra, gdzie Leon XIII je pobłogosławił, poleciwszy zarazem, aby mu każdorazowo, w czasie przyjęć pielgrzymów, przyprowadzano kilka osób z ludu, dla pocałowania ręki i nogi. Pielgrzymi nasi, jak i inni zresztą, odśpiewali w Bazylice pobożne pieśni w języku narodowym.

Na rycinach naszych widzimy tedy naszych chłopów w siermięgach na placu Św. Piotra, przy wejściu do świątyni; baby wiejskie z Krakowskiego przed świątynią Ś-go Pawła za murami; jest także kilku Słowaków podkarpackich w charakterystycznych płaszczach futrzanych; są także Węgrzy w bogatych strojach narodowych, wychodzący z posłuchania u Ojca Świętego.

Odwiedziny jubileuszowe czterech Bazylik, przepisane dla otrzymania odpustu, zmniejszono z 10-u do czterech, i to w ten sposób, iż można było je odbyć w ciągu dni trzech. Pątnicy wchodzili do świątyni przez Porta Santa.



Włóścianie galicyjscy przy wejściu do świątyni św. Piotra.
Fot. dla Tygodnika Ilustrowanego.

Punktem kulminacyjnym dotychczasowych uroczystości była kanonizacja błog. Jana de la Salle i Rity de Cascia, w d. 24 maja. To też już od godziny czwartej z rana tłumy pątników zaczęły napływać na plac Ś-go Piotra, gdzie włoskie wojsko, ustawione sznurem, utrzymywało porządek. Sama ceremonia, nadzwyczajnie świetna, przeciągnęła się do godziny 1-ej w południe. Wspaniałym mianowicie był wygląd kolosalnej świątyni, ubranej odświętnie, z przepysznym tronem papieskim w głębi absydy.

Każdy z pielgrzymów skorzystał oczywiście ze sposobności, aby obejrzeć Rzym, jego pamiątki, wejść na kopułę Bazyliki Watykańskiej, skąd widok roztacza się na całe miasto, a jeśli postarał się o pozwolenie, którego z łatwością udzielają w Pałacu Apostolskim, u *maestro di camera*, mons. della Volpe, zajrzał także i do wspaniałych malowniczych ogrodów papieskich, gdzie oprócz dzisiejszego kwiatecznika z palmą pośrodku, obok willi letniej Leona XIII, niedawno dobudowanej do średniowiecznej wieży Leona IV, i cienistych szpalerów mirtowych i lasku dębowego, mógł ujrzeć zwierzyńce, powstały z darów nadesłanych w różnych czasach panowania dzisiejszego Najwyższego pasterza, jak: strusie, afrykańskie owce,

pelikany, którym Leon XIII, w czasie spacerów lub letniego pobytu w nowym pałacyku, własnoręcznie nieraz daje pożywienie.

P.

Rzym, w czerwcu 1900 r.



Nasze ryciny.



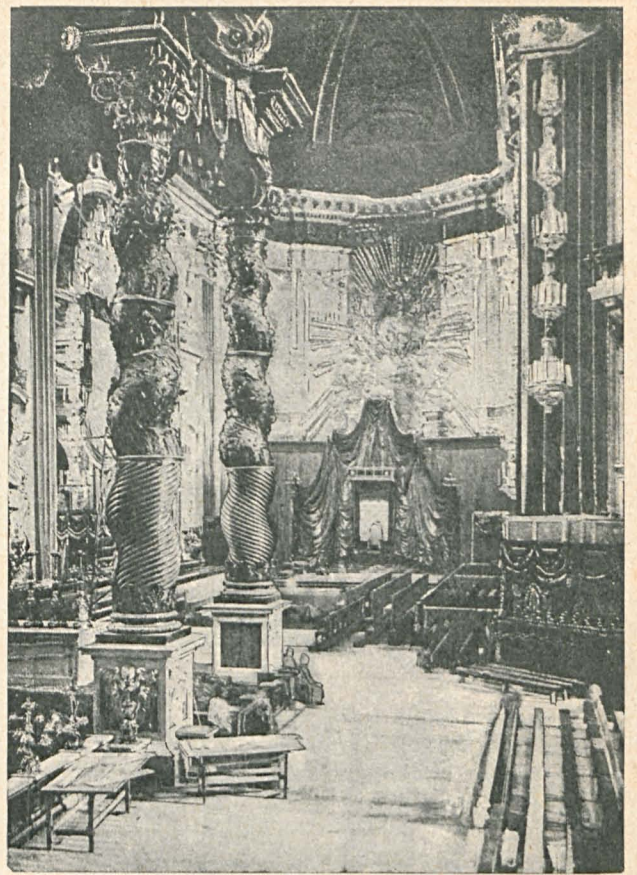
M. Wasilkowska: Roksana. Typ „wytwornisi“ ośmieszany ongi przez Molière'a w „Precieuses ridicules“ wszedł znowu, dzięki Rostandowi, na scenę i stał się popularnym. „Roksana“ Cyrana de Bergerac jednak nie jest śmieszną karykaturą, jak typ Molierowskiej farsy, lecz uosobieniem wdzięku, który nawet wpadając w przesadę, nie przestaje być sympatycznym i estetycznym. Tak pojęła tę postać znakomita portrecistka p. M. Wasilkowska. W wyrazie twarzy i ruchu Roksany przebija pewna afektacja, ale to nie osłabia wrażenia wdzięku, jakim technie cała postać „wytwornisi.“

Kazimierz Pulaski: Rekonesans.

Utwór utalentowanego batalisty naszego odznacza się zaletami właściwymi wszystkim jego pracom. Doskonale jest odczucie i odtworzenie ruchu jeźdźców i koni, z których każdy posiada wyraźnie zaakcentowaną indywidualność. Jeden, stuliwszy uszy, rwie się naprzód przerażony, drugi sady w rytmicznych podskokach, jak na paradzie, trzeci pędzi z ogniem, nie okazując jednak strachu. Postawy i fizyognomie jeźdźców harmonizują doskonale z ruchem i wyrazem koni. Na drugim planie widać gromadę jeźdźców nieprzyjacielskich, pędzących wyciągniętym galopem ku oddziałowi rekonesansowemu. Krajobraz, utrzymany doskonale w lokalnym charakterze, dopełnia całości.

Józef Brandt: Zła droga. Zła droga—kto z wieśniaków nie wie co to znaczy? kto nie trząsł się po wybojach? komu nie grzęzły koła w błocie po osie? kto nie widział koni, wyciągających z wysiłkiem brykę z dołu? kto nie słyszał przekleństw i krzyków zniecierpliwionego stangreta? Otóż takie przejścia, nie należące w życiu do najrozkoszniejszych, mogą się stać doskonałym tematem dla artysty, który w tem właśnie, co odbiega od normalnego trybu, znajduje najwięcej motywów

ponętnych dla pędzla lub ołówka. Na równej drodze koń nie potrzebuje się tak męczyć, to prawda, ale też nie ujawni takiej energii i takiej różnorodności ruchów, jak na nierównej. Trójka, która na obrazie Brandta ciągnie z wysiłkiem ciężką staroświecką brykę, zdaje się, jak to mówią: „wylać ze skóry.“ a jakby dla kontrastu, wierzchowiec przywiązany z tyłu powozu, biegnie lekkim i swobodnym krokiem. Jakkolwiek głównymi bohaterami obrazu są konie, malarz nie zaniedbał i ludzi: stangret wywijający biczem, hajduk, starający się o utrzymanie równowagi w pochylonej bryce, oraz dwaj panowie, zajmujący tylne siedzenie pojazdu—wszystko to uderza wyrazem, wszystko technie życiem i prawdą.



Tron Leona XIII w bazylice św. Piotra w dzień kanonizacji.
Fot. dla Tygodnika Ilustrowanego.

O. Friedrich: Kanossa. Na obrazie tym widzimy wiekopomny moment ukorzenia się władcy świeckiego przed potęgą moralną naczelnika Kościoła. Jest to fakt zbyt dobrze znany z dziejów, żebyśmy się tu dłużej nad nim zastanawiać potrzebowali. Zresztą ciekawi znajdą szczegółowy opis spotkania się cesarza Henryka z papieżem Grzegorzem w wydanej świeżo powieści Choinńskiego p. t. „Tyara i Korona.“ Malarz trzymał się również wiernie opisów kronikarza i przedstawił fakt zgodnie z tradycją. Cesarz niemiecki, odziany w szaty pokutnicze, przepasany powrozem, stoi bosymi nogami na śniegu u schodów zamkowych, na których szczycie widać pochyloną wiekiem, ale pełną energii duchowej postać Papieża. Na twarzy cesarza nie widać skruchy, tylko hamowaną wściekłość i gniew; na obliczu Papieża maluje się niedowierzanie. Całość obrazu utrzymana jest w stylu akademickim; kompozycja i wykonanie odznaczają się poprawnością i chłodem, właściwym szkole Piloty'ego.



Pielgrzymi węgiersko-słowaccy wracający z posłuchania Leona XIII.
Fot. dla Tygodnika Ilustrowanego.

Kronika powszechna.

Apostolstwo miłosierdzia.

Do najdotkliwszych plag, trapiących biedną ludność, zaliczyć trzeba straszną chorobę trądu. Nieszczęśliwe ofiary tej nieuleczalnej dotychczas zarazy wzbudzają wstręt widokiem ran gnijących i wydających woń odrażającą. Biedni ci i nieszczęśliwi, opuszczeni, wydziedziczeni niejako wśród milionów ludzi zdrowych i silnych, powinni być przedmiotem największej naszej litości i gorącego współczucia; trzeba jednak anielskiego zaparcia się siebie i bezgranicznego poświęcenia, aby oddać się niepodzielnie na ich usługi i po latach obeowania z nimi paść także ofiarą zarazy, bo taki zwykle koniec czeka każdego, zapisującego się pod święty sztandar apostołstwa miłosierdzia. A jednak dzieje misyjne podają nam znaczną liczbę tych nieustraszonych żołnierzy Chrystusowych, tych pokornych, a przecież wielkich w swem świętem posłannictwie sług Bożych, którzy pod godłem krzyża wytrwale i mężnie walczą z tą straszną, trądem zwaną, zarazą. Wśród tych apostołów miłosierdzia spotykamy też imiona naszych rodaków. Przed rokiem zmarł w Afryce jeden z misjonarzy Polaków, zmarł wśród trędowatych, których najtroskliwszą otaczał opieką. Obecnie „Misye katolickie“ podają nam znowu sprawozdanie z działalności rodaka naszego, Ojca Jana Beyzyma, Wołynianina, założyciela kolonii dla trędowatych na Madagaskarze. Stamtąd nadesłane do „Misji katolickich“ listy czcigodnego Ojca Beyzyma i dołączone do nich fotografie dają nam dokładny obraz losu, godnego litości, tych najbiedniejszych z najnieszczęśliwszych z ludzi. Podzwrotnikowy klimat Madagaskaru ogromnie wpływa na rozwój zarazy, szerzącej się wśród krajowców. Kolonia Ojca Beyzyma, o mil kilka oddalona od stolicy wyspy, Tananariwy, znajduje się w miejscowości Ambuhivuraka. Czcigodny Ojciec, w braku dostatecznych funduszy, musiał walczyć z wielu trudnościami, nim udało mu się założyć schronienie dla biednych chorych. Starą i lichą szopę przyozdobił obrazem M. B. Częstochowskiej, w ramach własną jego ręką artystycznie rzeźbionych, i tam, w tej ubogiej świątyni, codzień odprawia Mszę Św. ku zbudowaniu i pociesze swej nieszczęśliwej gromadki, którą ojcowską otacza opieką, przy której pracuje i modli się, w modlitwie czerpiąc siłę i wytrwałość.

Z prasy polskiej.

Kuryer Warszawski dał obszerny artykuł o „Historii Instytutu muzycznego“ pióra p. A. Dobrowolskiego, oraz artykuł E. Jankowskiego p. t. „Dla dzieci i wnuków,“ w obronie ogrodu pomologicznego, zagrożonego parcelacją.—*Prawda*: „Nowe stosunki przemysłowe“ przez Stanisława Koszutskiego; „Rural Exodus“ przez Zen. Por.—*Niva Polska*: „Polityka Pięści;“ „Świat Syoński;“ „Syonista o kwestyi żydowskiej.“—*Kuryer Codzienny*: „Artyleria wspól-

czesna“ (początek obszerniejszego artykułu, który ze względu na wojenny nastrój chwili może obudzić zaciekawienie); „Muszka“ powieść przez Rojana.—*Słowo*: „Melioracye rolne“ przez A. D., „Z literatury historycznej“ p. A. Rembowski.

Z pedagogiki.

W N. 3-im „Przeglądu Pedagogicznego“ p. J. Jahołkowska, opierając się na pracy Hansena: „Samopomoc społeczna w Danii,“ porusza ważną kwestyę towarzystw dziecięcych opieki nad zwierzętami. W krótkich słowach wskazawszy potrzebę rozwoju uczuć humanitarnych w dziecku, p. J. podaje w streszczeniu historię rozwoju stowarzyszeń dziecięcych, z których najwcześniejsze, jak się okazuje, było założone w Niemczech, w Danenbergu 1872 r., a następnie dopiero 1875 r. w Anglii. Obecnie stowarzyszenia tego rodzaju rozwijają się bardzo szybko w Anglii, Francji, Niemczech, Szwecji, Finlandyi i Danii, a wpływ ich uszlachetniający jest widoczny zarówno wśród dzieci wiejskich, jak w szkołach i wszelkiego rodzaju zakładach, skupiających gromady dziatwy. Zdaje się, że i nasze Towarzystwo opieki nad zwierzętami nie miałoby wielkich trudności w podjęciu tej pięknej idei, która w zastosowaniu wydałaby niewątpliwie owoce bardzo pożądane.—Artykuł p. Życkiej „Z psychologii wychowawców“ ma związek bezpośredni z pracą E. Phillips'a: „Instynkt nauczycielski,“ streszczoną przez I. M. W pierwszym jest mowa o potrzebie odczuwania duszy dziecka przez nauczyciela, który tylko w tym razie kierować się może i wywierać wpływ dodatni; w drugim autor zaczyna od rozwiązania kwestyi: czy dar pedagogiczny jest wrodzony, czy może być nabyty przez usilną pracę? Rozwiązawszy zagadnienie na korzyść instynktu wrodzonego, który tylko rozwija odpowiednio wykształcenie, autor stawia sobie nowe zapytanie: na jakich podstawach opierać się powinno wykształcenie nauczyciela? W odpowiedzi na to wyprowadza wniosek, iż

przedewszystkiem ściśle musi być ono związane z tymi ideałami, jakie rozwijać pragniemy w młodym pokoleniu. Nauczyciel i wychowawca muszą stanowić jedność, a ponieważ ich zadaniem wytworzenie rozumnej i pożytecznej części społeczeństwa z materiału, który się nazywa uczniem, więc wymagać od nich musimy nie tylko gruntownej nauki, lecz głębszego zrozumienia tych szerokich celów i umiejętności wcielania ich w swoją pracę. Kończy pracę zestawienie cech charakterystycznych wpływu mężczyzn i kobiet pedagogów, zestawienie może trochę szablonowe, na które niezupełnie zgodzić się możemy, w każdym razie jednakże poruszona w tej pracy kwestya powinna zainteresować ogół wychowawców i nauczycieli.

W numerze 11 „Przegl. Ped.“ p. Ed. Strumpf w artykule „Zbieranie roślin jako środek kształcący,“ przedstawiając potrzebę zachęcania młodzieży do bliższego zaznajamiania się ze światem roślinnym, kończy uwagi swoje temi słowy: „Każde społeczeństwo cywilizowane winno dążyć do możliwie dokładnego poznania ziemi własnej i wszystkich jej bogactw—a zatem i szaty roślinnej. Stanowi to jedno z zadań fizjografii. Więc nie należy lekceważyć zmuśnych badań florystycznych, jeno popierać je wszelkimi siłami; albowiem cóż poczynimy wówczas, gdy przyjdą ludzie obcy i powiedzą nam, co zdobi nasze pola i niwy rodzinne, co się kryje w głębi naszych lasów szumiących!“ Przytaczamy te słów kilka, ponieważ są bardzo na czasie i zasługują na to, aby je powtórzyć młodym umysłem, które już lada chwila rozbiegną się po niwach i lasach szumiących. Redakcyja uzupełnia myśl tę zapowiedzią ukazania się wkrótce dwóch pomocniczych dziełek w tym kierunku: „Wskazówki praktyczne dla zbierających rośliny“ E. Strumpha i „Klucz do określania roślin“ Wermińskiego.—Na ostatnich posiedzeniach Towarzystwa Hygienicznego w Warszawie poruszono sprawę podmiejskich ogródków dziecięcych

czyli tak tak zwanych półkolonii, gdzie powinny być wysyłane przedewszystkiem dzieci, dla braku środków nie wysłane przez kolonie. W sprawie gimnastyki uchwalono: 1) opracowanie i rozesłanie kwestyonariusza; 2) wyostosowanie odezwy, zachęcającej do gimnastyki; 3) przesłanie prośby do Rady w kwestyi delegowania przyszłych nauczycieli słońdu na naukę do Szwecyi.

Kalendarz literacki.

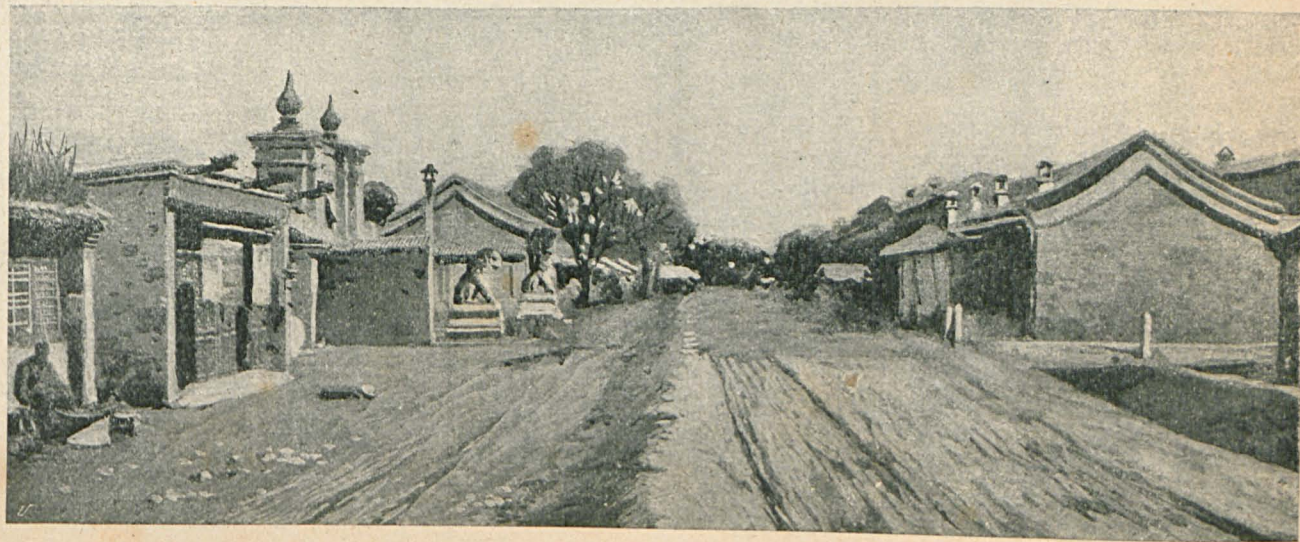
Mam przed sobą ostatni zeszyt „Kalendarza literackiego,“ wydawanego od wielu lat przez p. Józefa Kürschnera. Gruba książka ma jako główny dział spis wszystkich pisarzy niemieckich obojej płci, z podaniem dat urodzenia i pobytu, oraz dzieł i ich pierwszych i ostatnich wydań. Jest tam i kilku Polaków z arcybiskupem Stablewskim na czele. W innych działach tego niezmiernie pożytecznego wydawnictwa jest spis wydawców i pism z podaniem ich zakresu i innych danych, schematyzm teatrów i t. d. Przerzucając ten tom, myślę sobie: Czemu my nie mamy takiego kalendarza, nie mamy spisu ludzi piszących po polsku książki czy artykuły, a nie mając go, marujemy tyle czasu na listy z zapytaniem o szczegóły biograficzne, lub adres, lub publikacye ludzi żyjących? Czemu jaki wydawca lub jaka korporacya, np. w Warszawie Kasa literacka, o takim kalendarzu nie pomyśli? Trud byłby przy pierwszym roczniku duży, bo zebranie dat jest zawsze uciążliwe, a musi być bardzo skrupulatnem; ale koszt byłby nie tak wielki. A jeżeli nie przy pierwszym, to przy dalszych rocznikach, i trud i koszt opłaciłby się, literaturze zaś przybyłoby bardzo pożyteczne wydawnictwo.

Dr J. Flach.

Przyp. Red. O ile nam wiadomo, wydawnictwem kalendarza literackiego ma się zająć Komitet Warszawskiej Kasy literackiej.

Kroniczka fotograficzna.

Tak zwane „wiro-iiksaże,“ czyli kąpiele do papieru, zawierające w jednym płynie kąpiel tonującą i utrwalającą,



Ulica poselstw europejskich w Pekinie.

znalazły szerokie zastosowanie do wykończania odbitek na papierach celloidinowych, kolodyonowych i chloro-żelatynowych. Nie dają one odbitkom tak pięknych tonów i takiej trwałości, jak wiraże, po których utrwalanie odbywa się oddzielnie, lecz ze względu na szybkość roboty chętnie bywają stosowane. Oto wypróbowana recepta kapieli: w 2 litrach wody destylowanej kolejno rozpuścić: 500 gram. podsiarkonu sodu (Natr. hyposulphurum), 55 gr. rodanku amonu (Amon. rhodanatum), 15 gr. alunu (Alumen), 15 gr. kwasu cytrynowego (Acid. citricum), 20 gr. octanu ołowiu (Plumbum aceticum), 20 gr. azotanu ołowiu (Plumbum nitricum). Po dokładnem rozpuszczeniu dodać: 150 centym. sześć. płynu chlorku złota, rozpuszczonego 1:200 wody destylowanej. Kapiel przed użyciem powinna odstać się 4—5 dni. Używać można niejednokrotnie, za każdym razem filtrując; nie należy jednak używać kapieli zbyt starej. Płókać po tonowaniu długo.

Piłki, rurki i pęcherzyki gumowe, do migawek fotograficznych używane, bardzo prędko podlegają zepsuciu. Ażeby je od prędkiego zepsucia uchronić, moczyć należy w płynie: wody destylowanej 2 części, amoniaku 1 część. Operacja trwa od kilku minut do 1/2 godziny. Dziurki i splekania można zalczyć kauczukiem, rozpuszczonym w benzolu lub benzynie. Również dobrze jest przyrządy gumowe pokrywać na jakiś czas rozpuszczoną stearyną; po oskrobaniu jej, nabierają giętkości.

Zmarli. Wł. K.

Tomasz Dybowski. Ś. p. Tomasz Dybowski, od lat trzydziestu kilku opiekun ochrony IV przy ul. Czerniakowskiej i przytulku sierot przy ul. Szarej, a także sekretarz Administracji ogólnej War. Tow. Dobroczynności, umarł w Warszawie 26 lutego w r. b. 1900. Urodzony w Lublinie w grudniu 1816 r., z ojca Feliksa, b. kapitana wojsk polskich, a podówczas pisarza magazynu solnego, w r. 1838 ukończył oddział mechaniczny gimnazjum lubelskiego. Młodzieniec, zamiłowany w swej specjalności, pilny, akuratywny, a przytem obdarzony niezwykłymi zaletami towarzyskimi, zostawszy urzędnikiem w Komisji Skarbu w Warszawie, prędko się odznaczył, a następnie, jako urzędnik do szczególnych poruczeń, wywiązywał się dobrze z trudnych nieraz poleceń, zyskując sobie ogólne uznanie urzędników górnictwa. Były to czasy reformy, a ś. p. Dybowski, zostawszy dyrektorem rządowej fabryki machin na Solcu (po Reklewskim), nie mógł już w ciągu 8-letniego kierownictwa rozwinąć fabryki, która w r. 1869 przeszła w ręce prywatne Rau'a. Wyrozumiały dla wszystkich, sumienny w spełnianiu podjętych obowiązków, był człowiekiem rzadkiej prawości, i niezwykłej podniosłości uczuć. Wł. N.

Władysław Wisłocki. Dnia 4-go z. m. zmarł w Krakowie najznakomitszy, obok Karola Estreichera, bibliograf polski, a nadto pierwszorzędnym znawcą literatury i języka staropolskiego, Władysław Wisłocki. Urodził się dnia 31-o lipca 1841 r. w Knihyniczach w Galicyi, kształcił się w uniwersytecie lwowskim, gdzie w r. 1867 uzyskał stopień

doktora filozofii; tamże był czas jakiś nauczycielem gimnazjum, w r. 1869 został kustoszem biblioteki Ossolińskich, w roku zaś 1874-m — Jagiellońskiej w Krakowie. W r. 1878 był wybrany na członka korespondenta Akademii Umiejętności, w 1880 na członka czynnego krajowego; nadto od r. 1873 był członkiem komisji historycznej i bibliograficznej (od r. 1877 sekretarzem tej ostatniej), od 1873 do 1883 sekretarzem komisji literackiej, a potem zastępcą przewodniczącego tejże komisji; wreszcie od r. 1882 był członkiem komisji historii sztuki. Po śmierci Żegoty Paulego został historyografem Uniwersytetu. Poczec prac jego jest liczny. Dotyczą one bibliografii, dziejów wychowania, historii, dziejów literatury i oświaty, lingwistyki, prawa dawnego. Oto tytuły najważniejszych: „Nauka języka polskiego w szkołach polskich przed Kopczyńskim“ (1868); „Krótka wiadomość o Towarzystwie literatów w w. XVIII“ (1869); „Uwagi o I zeszytce Bibliografii K. Estreichera“ (1871); „Dwie rzadkości bibliograficzne Marcina Bielskiego“ (1873); „Wspazyna Kochowskiego *Rubus incombustus*“ (1873); „Kodeks pilzeński ortylów magdeburgskich z początku XV w.“ (1874); „Kazania łacińskie i czeskie z początku XV w.“ (1875); „Legenda o św. Aleksym z roku 1454“ (1876); „Książki o wychowaniu E. Glicznera“ (1876); „Hymny Zimorowicza“ (1876); „Poczec prac drukowanych i rękopiśmiennych Grzegorza Piramowicza“ (1877); „Urszula ochmistrzyni Łąbedzianka i jej korespondencya z Piotrem Gembickim w r. 1627“ (1877); nieoceniony dla badaczy „Katalog rękopisów biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego“ (1877—1881), obejmujący opis 4,176 rękopisów; „Gwalter Burley i Marcin Bielski“ (1878); „Andrzeja Zebrzydowskiego biskupa korespondencya 1546—1553“ (1878); „Ks. Szczepana Hołowczyca raport z wizyty generalnej południowo-wschodnich wydziałów szkolnych w r. 1782“ (1878); „Bibliografia obchodu uroczystości jubileuszowych J. I. Kraszewskiego“ (1879); „Glossa super epistolas per annum dominicales“ z połowy w. XV (1880); „Dyaryusz komisji bydgoskiej z r. 1614“ (1880); „Pieśń bernardyńska“ z początku XVI w. (1884); „Liber diligentiarum facultatis artistice Universitatis Cracoviensis, 1487—1563“ (1886); ostatniemi jego pracami były: wydanie „Acta rectoralia“, „Życie Jana Kantego“, a śmierć zaskoczyła schorzałego już pracownika nad pracą o inkunabułach. Od r. 1878 wydawał cenny „Przewodnik bibliograficzny“, stanowiący jakby dalszy ciąg „Bibliografii“ Estreichera. Zmarł na kilka dni przed obchodem jubileuszu wszechnicy krakowskiej, dla której tyle zasług położył, jako jej historyograf i kustosz jej zbiorów bibliotecznych. Uroczystości jubileuszowe przytłumiły nieco objawy żalu po stracie Wisłockiego, ale pamięć o nim, jako o człowieku zacnym i uczynnym, i pożytek z prac, przezeń dokonanych, długo przetrwają. Wł.

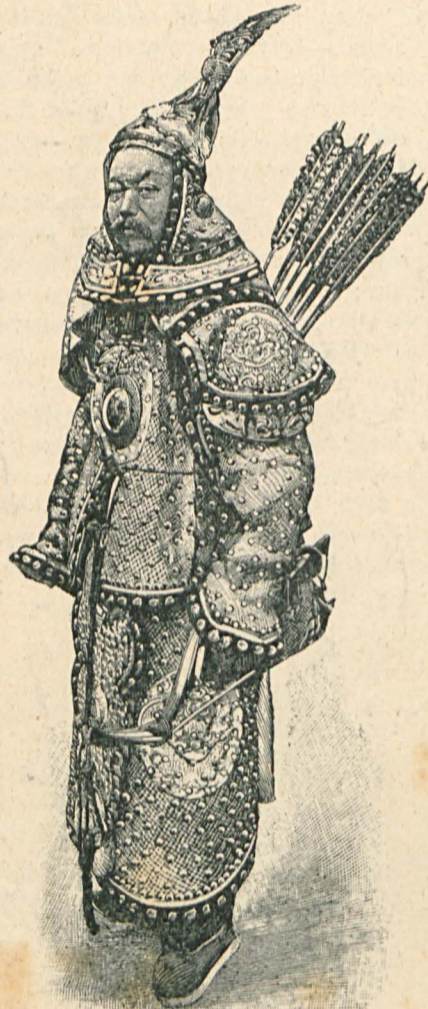
Polityka.

W trzy tygodnie blisko po fackie dowiedziano się nareszcie, że w Pekin-



Admirał Seymour.

nie zamordowany został na ulicy poseł niemiecki Ketteler, że z wyjątkiem trzech, wszystkie poselstwa spalone, i że Europejczycy, zabarykadowani w pozostałych ambasadach, bronią się ostatkiem sił przed rozszcieczonym tłumem, któremu pomaga wojsko. Oddziały wojskowe, strzegące poselstw, są słabe, a skoro amunicya się wyczerpie, nastąpi katastrofa, jeżeli nie nastąpiła jeszcze.—W Pekinie podobno zagarnął władzę książę Tuan, ojciec niedawno mianowanego następcy tronu. Miał on uwięzić cesarza i starą cesarzową. Według innych wersji, oboje ratowali się ucieczką. Pałac ce-



General Kouei-Song-Tsong-Ping, komendant wojsk chińskich.

sarski także jest spalony. Zastrzedz należy, że wiadomości, nadchodzące z Chin, są przeważnie fałszywe, a przeto niewiele na nich można budować.

Cokolwiek jednak stało się z monarchią i rządem w Pekinie, dla mocarstw istnieje na razie jedno przedewszystkiem zadanie: zbrojną ręką zapanować nad sytuacją. Do tego też zmierza akcja międzynarodowa. Jak dotąd, posunęła się ona niezbyt daleko; zdobyto forty nadmorskie w Taku, oswobodzono główną siedzibę Europejczyków, Tiensin, i uratowano kolumnę admirała Seymoura. Kolumna ta, złożona z wojska mieszanego, wyruszyła była do Pekinu na ratunek poselstwom, ale natrafiła na przemagające siły chińskie i musiała cofnąć się do Tiensinu wśród ciężkich walk. Ostatnia pogłoska mówi, że korpus międzynarodowy dotarł aż do Pekinu, lecz jest to wieść mało wiarogodna.—W dzisiejszym numerze dajemy jako ilustrację wypadków chińskich—widok ulicy w Pekinie, przy której mieściły się ambasady, portret admirała Seymoura, który prowadził wyprawę do Pekinu, i jako typ, generała chińskiego.—Z wewnętrznych spraw europejskich należy zanotować zebranie się nowo wybranej izby deputowanych włoskiej. Jak wiadomo, gabinet generała Pelloux rozwiązał był izbę z powodu radykalnej obstrukcji i przeprowadził nowe wybory. Otóż opozycja wróciła do nowej izby wzmocnioną i lepiej skonsolidowaną, gabinet wziął dymisy, a ster rządu objął Saracco. Rezultat ten udobruchał nieco opozycję radykalną, może więc teraz parlament zacznie pracować. Razem z Pelloux upadł także przeforsowany przez niego zaostrożony regulamin obrad. Teraz właśnie nowa izba układa sobie także nowy regulamin.—We Francyi, za przykładem Niemiec, uchwalono znaczne powiększenie floty wojennej.—W Afryce południowej trwa wojna partyzancka. Burowie mieli nawet w ostatnim czasie względne powodzenie i zadali Anglikom kilka większych porażek. Ponieważ teraz potrzeba wojsk w Chinach, jest to okoliczność dla Anglii bardzo niepomysłna.

Z muzyki.

Paryż. W sali Erarda odbył się w maju szereg koncertów naszych artystów: Zygmunta Stojowskiego, Augusta Radziana, Henryka Opieńskiego, skrzypka i kompozytora, którego pieśni, odśpiewane przez p. M. Kaftalównę i pana Umirowa, zyskały duże powodzenie. Odegraniem sonaty skrzypcowej Żeleńskiego złożyli pp. Stojowski i Opieński hołd swojemu mistrzowi, zapoznając Francuzów z jego pięknym utworem. — Paderewski, wróciwszy z Ameryki, rozpoczął tryumfy w Europie dwoma koncertami u Erarda w dn. 8 i 11 czerwca, przyjmowany entuzjastycznie.

Humor i satyra.

Zona do męża, wyjeżdżającego w podróż za interesami:—Olesiu, czy będziesz mi wiernym?

Mąż. Ależ naturalnie, o ile mi czas pozwoli.

— Tato, co to znaczy pesymista?

— Pesymista... pesymista... jakby ci tu wytłómaczyć?... Ot np. człowiek żonaty.